TYDZIEŃ

Nr 34 (58) ROK II

24. VIII. 1947

CENA 20 ZŁ



Dziś: Powrót Pana Zagłoby

Uczciwość

ZASADNICZYM warunkiem zdobycia przez prasę w Polsce należytego stanowiska w opinii publicznej jest jej uczciwość w podawaniu informacji i niekierowanie się ciągle względami konkurencyjnymi. Co na przykład napisać można o tygodniku „Przekrój" i o jego współpracowniku Kazimierzu Koźniewskim, gdy podają oni listę nagród literackich przyznanych w Polsce w ostatnim czasie, skrzętnie pomijając nazwę „Tygodnia", którego nagrodę otrzymał Szaniawski i Dygat. Co powiedzieć o pismach: „Gazeta Ludowa" i pobożny „Tygodnik Powszechny", które informują, jakie czasopisma poświęciły specjalne numery rocznicy „Powstania Warszawskiego", pomijając oczywiście nazwę „Tygodnia". Nie trzeba nic mówić, tylko załamać ręce, westchnąć ciężko i zasnąć, bo nie ma się czym przejmować.

W brytyjskich koloniach

MOSKIEWSKI tygodnik „Nowoje Wremia" zajmuje się ostatnio opublikowaną przez rząd angielski „niebieską księgą" o brytyjskiej polityce kolonialnej. Pismo stwierdza, że asygnowanie 125 milionów funtów szterlingów na rozwój kolonii w najbliższym dziesięcioleciu stanowi nieznaczną sumę, wy noszącą zaledwie 4 szylingi na jednego mieszkańca kolonii. Polityka kolonialna rządu labourzystowskiego, niczym się nie różni od polityki konserwatystów. W Banku Angielskim — jak stwierdza pismo — zamrożono aktywy kolonii, wynoszące 800 milionów funtów, program rozwoju kolonii zaś przewiduje na pierwszy rok nieznaczne wydatki w wysokości 8 milionów funtów.

Stan kolonii charakteryzują chociażby takie fakty, że w północnej Rodezji śmiertelność dzieci do trzech lat wynosi 56 proc., w Nigerii zarejestrowano miliony wypadków trądu, a na Złotym Wybrzeżu 80 — 90 proc. ludności zarażonych jest chorobami wenerycznymi. Podczas, gdy średnia długość życia wynosi w Anglii 55 lat, w Indiach zaledwie 23 lata. Ludność kolonii brytyjskich stale głoduje. W 1943 r. umarło z głodu 6 milionów Hindusów. Nie lepiej przedstawia się demokratyzacja reżimu kolonialnego. Na Cejlonie prawo wyborcze do Rady Doradczej przy gubernatorze posiada zaledwie 4 proc. ludności, w Nigerii zaś na ogólną liczbę 30 członków Rady, ludność tubylcza ma prawo wybierać jedynie czterech, przy czym w wyborach bierze udział zaledwie 1/1000 proc. ludności. Reklama polityki kolonialnej rządu laboourzystów — stwierdza w zakończeniu „Nowoje Wremia" — w świetle tych faktów jest co najmniej nie na miejscu i grubo przesadzona. (w)

Amerykanie wykupują Anglię

JAK donosi korespondent spółdzielczego pisma amerykańskiego „Reynolds News", bogaci Anglicy, którym udało się uniknąć kontroli państwowej, przewożą swoje kapitały za granicę. Korespondent pisze, że lokują oni setki tysięcy funtów szterlingów w bankach USA i Ameryki Południowej. Wiadomo jest, że zawierane są transakcje z amerykańskimi finansistami, którzy otrzymują prowizję za pomoc Anglikom, uchylającym się od wykonania ustawy o walucie. Scotland Yard poczynił już kroki, w celu zbadania wypadków, w których zamieszane są dziesiątki bogatych Anglików, związanych w większości z dobrze znanymi towarzystwami handlowymi. W pewnych wypadkach Anglicy sprzedają swe mienie i akcje w Anglii Amerykanom wg. fantastycznie niskich cen, które uwidocznione są jedynie na piśmie. W rzeczywistości zaś transakcje te zawierane są w ten sposób, że dokonywane są dodatkowe wpłaty na rachunek sprzedawców w bankach Nowego Yorku lub Ameryki Południowej. Amerykanie nabyli w Anglii aktywy, w kwocie ok. 5 mil. funtów szterlingów.

Wolność prasy

AMERYKAŃSKI Instytut Przeprowadzania Analizy Opinii Prasy „Twohey" ogłosił, że 93 proc. dzienników amerykańskich było za uchwaleniem antyrobotniczej ustawy o pracy tzw. „Taft-Hartley Act". Na 1.750 gazet amerykańskich tylko 4 proc. zajęło stanowisko przychylne dla świata pracy, 3 proc. przyjęło postawę neutralną. Wynik tych badań rzuca charakterystyczne światło na obecną rzeczywistość Ameryki.

tak i nie

Fryzjerzy chińscy protestują

FRYZJERZY chińscy są obrażeni. Nie pragną oni obecnie niczego innego, jak zakazu wyświetlania filmu chińskiego „Fałszywy Feniks". Ten bowiem film przedstawia fryzjera chińskiego w taki sposób, że to przynosi dyshonor wszystkim fryzjerom chińskim. Nie dość, że fryzjer ten nosi fałszywy diament, ale w dodatku ostrzy brzytew na krawacie, zbiera niedopałki papierosów pozostawione przez klienta i gdy prosi o pożyczkę dwustu tysięcy dolarów, pożyczają mu tylko tysiąc.

Żaden fryzjer chiński, powiada korporacja fryzjerów, nie prowadzi się w taki karygodny sposób.

Pod opieką Franco

DZIAŁALNOŚĆ hitlerowska w Hiszpanii jest jeszcze bardziej niepokojąca. Po zakończeniu wojny zbiegło do Hiszpanii, pod opiekuńcze skrzydła Franco, ponad 80.000 hitlerowców — między innymi przestępcy wojenni, kierownicy przemysłu wojennego, wysocy funkcjonariusze, dyplomaci.

Wartość mienia niemieckiego w Hiszpanii jest olbrzymia. Znaczna ilość niemieckich zakładów przemysłowych egzystuje obecnie na terenie Hiszpanii. Na 5.000 wielkich firm istniejących w kraju, 1.000 znajduje się pod całkowitą kontrolą niemiecką, a w 2.000 dyrektorami są Niemcy. Według danych amerykańskich 2.200 uczonych niemieckich pracuje pod opieką Franco.

Na rozkaz Martina Bormanna grupa uczonych z berlińskiego instytutu „Kaiser Wilhelm" zainstalowała się w Hiszpanii; ich dyrektor, wpływowy członek Gestapo, Herman Grumann, jest doradcą uczonych hiszpańskich, pracujących w dziedzinie energii atomowej. W jednym z laboratoriów, w Almerii. Niemcy kontynuują swe badania nad radarem i samolotami kierowanymi telewizją. Szpiegostwo niemieckie, tak aktywne podczas wojny, pracuje w dalszym ciągu „normalnie" pod wodzą byłego attache w Madrycie, generała Kramera. W Hiszpanii znajduje się również nadal (pod fałszywym nazwiskiem) Gustav Lenz, szef grupy szpiegowskiej, która podczas wojny miała na swoich usługach do 70.000 agentów.

Ostrze na ostrze

D. D. T.

W Grecji zdarzył się niedawno następujący wypadek. W pewnej wsi wylądował samolot. Z samolotu wysiadł jakiś człowiek. Na ramieniu miał czerwoną opaskę. Pogawędził z miejscową ludnością, po czym wsiadł z powrotem do samolotu i odleciał.

Niemało uciechy miała z tego powodu prasa ateńska. Oto sensacja na miarę i na gust amerykański. Obce samoloty nad Grecją! Obcy wywiad działa! Najpikantniejszy szczegół całej historii, to oczywiście — czerwona opaska...

Po paru dniach szum w prasie umilkł! Okazało się bowiem, że tajemniczy jegomość był po prostu... funkcjonariuszem Czerwonego Krzyża i zajmował się rozpylaniem proszku przeciwko malarii. Widocznie rozpowszechniona jest malaria w nieszczęśliwej Grecji, skoro jej bakcyle obok zwykłych śmiertelników nie oszczędziły także niektórych dziennikarzy, powodując w ich umysłach tak nagłe skoki temperatury.

Przydałby się może w ateńskich redakcjach jakiś antymalaryczny proszek. Niestety, cała tragedia polega na tym, że amerykańscy specjaliści w dziedzinie produkcji rozmaitych czarodziejskich proszków, niszczących bakterie, skłonni są ostatnio do oferowania chętnym odbiorcom czegoś, co raczej nie proszek przypomina, a proch...

Dosypują też tego prochu do greckich panewek, ile mogą. Podobno tak dużo, że zabrakło w Grecji miejscowej obsługi, wobec czego zachodzi konieczność przysyłania nowych transportów łącznie z amerykańskim personelem.

Nie o tym zresztą zamierzałam pisać. Mimo woli nasunęła mi się taka dygresja, a raczej dy-grecja na marginesie bardziej ogólnego zagadnienia.

Zaczęłam mianowicie od dziwnych metod niektórych pism ateńskich, uporczywie próbujących zakłócać pokój międzynarodowy. Metody te przypominają żywo antyradzieckie, antylewicowe hałasy niesławnej pamięci prasy hitlerowskiej, ciągle jeszcze brykającej prasy frankistowskiej, czy włoskiej prasy faszystowskiej.

Właśnie — krótko mówiąc, faszystowskiej. Fałszowanie faktów, prowokacje, bałamucenie i podjudzanie opinii publicznej. Skoro nie cofa się przed podobnymi środkami prasa ateńska — jest faszystowską.

I tak jest w istocie. Faszystowski, reakcyjny, znienawidzony przez lud jest rząd ateński. Faszystowska jest prasa. Co z tego wynika — mamy możność obserwować w Grecji. Mieliśmy także możność odczuć swego czasu na własnej skórze. My — Polska i wiele innych narodów.

Nie wszystkie jednak narody doświadczyły na sobie praktycznego działania faszystowskich teorii. Tym zapewne tłumaczyć można co najmniej dziwne w naszym pojęciu okoliczności, w jakich odbyło się przed kilkoma dniami posiedzenie Rady Ekonomiczno - Socjalnej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Toczyła się dyskusja w sprawie porządku dziennego projektowanej międzynarodowej konferencji w sprawie wolności prasy i informacji.

Przedstawiciel Związku Radzieckiego wysunął swego czasu propozycje w sprawie rezolucji dotyczącej odpowiedzialności prasy i walki z faszyzmem. Propozycje te nie zostały przyjęte. Francja wysunęła projekt kompromisowy. Ten projekt jednak także spotkał się z niezwykle ostrą krytyką. Przedstawiciel Kanady swierdził, iż termin „faszyzm" jest dla niego niezrozumiały. Również przedstawiciel W. Brytanii uznał, że francuska propozycja jest w najwyższym stopniu niezadowalająca, ponieważ zawiera słowo „faszyzm". Wniosek? Nie należy potępiać prasy, która szerzy pojęcia faszystowskie. Nie należy zalecać prasie demokratycznej, by pojęcia faszystowskie zwalczała.

Delegat radziecki przypomniał zebranym, jak prasa demokratyczna sprzyjała powodzeniu faszyzmu, witając zwycięstwo Hitlera w Monachium. To niezbyt przyjemne wspomnienie także nie podziałało. Posiedzenie zostało odroczone bez powzięcia decyzji.

Można by zatem sądzić, że faszyzm to iluzja. Może go w ogóle nie było? W ciągu kilkunastu lat prześniliśmy tylko zły sen... Naiwność? Głupota? Polityka? Zła wola?

A tymczasem zło się mnoży. Mnożą się na łamach różnych pism w różnych językach, m. in. na łamach prasy greckiej, małe, czarne, jadowite, zabijające ludzi i mącące pokój—literki. Faszystowskie i krypto-faszystowskie, śmiercionośne słowo, dożywiane cudownym amerykańskim proszkiem „DDT" — „DDT" — „DDT" — „Dostaniecie Dolary Trzymajcie się...!"

AVIS

NASZA OKŁADKA



Rys. St. Rozwadowski
NA PODWÓRKU

W Chinach

CHINY należą do najbardziej dotkniętych przez wojnę krajów. Podobnie jak Grecja wskutek oporu reakcyjnego rządu są wstrząsane coraz gwałtowniejszymi walkami wewnętrznymi. Rząd Czan-Kai-Szeka, opierający się na pomocy zewnętrznej, utracił prawie zupełnie popularność i utrzymuje się przy władzy jedynie dzięki sile fizycznej.

W północnych Chinach setki tysięcy chłopów służy ochotniczo w szeregach armii demokratycznej, spełniając wszystkie prace o charakterze pomocniczym. W prowincji Honan chłopi zorganizowali się w ochotnicze brygady żniwne, pomagające bezpłatnie najbiedniejszym wieśniakom, którzy w tym roku poraz pierwszy zbierają plon na ziemiach, otrzymanych w wykonaniu reformy rolnej.

Choć analfabetyzm w Chinach jest wielki, wieści te przedostają się lotem błyskawicy na południe, zyskując sprawie demokracji coraz to nowych zwolenników. Wielką sensację wywołało aresztowanie 160 oficerów policji Kuomintagu, oskarżonych o to, że zredagowali i ogłosili list otwarty do ludności Szanghaju. W liście tym protestowali m. in. przeciwko stosowaniu kar cielesnych i innym zabytkowym metodom, będącym wciąż jeszcze w użyciu pod rządami Nankinu. Według obiegających pogłosek, co trzeci policjant został zwolniony, jako politycznie niepewny.

Wszędzie ci sami

NA POCZĄTKU wojny, gdy Anglia wprowadziła racjonowanie mięsa, ówczesny rząd z przewagą konserwatystów zawarł umowę ze zrzeszeniem hurtowników mięsa, na mocy którego hurtownicy otrzymywali odszkodowanie na utracone zyski. Wskutek bowiem przejęcia importu mięsa przez rząd i dokonywania przezeń rozdziału, w większości wypadków rola hurtowników ograniczała się do wydania odpowiednich przekazów detalistom, tak, że mięso nawet nie przechodziło przez składy. Konsumenci płacili za to prawie 2 procent od obrotu, tyle bowiem wynosiło odszkodowanie.

Szczególną pikanterią tej sprawy jest okoliczność, że do Zrzeszenia hurtowników należały również wielkie konsorcja zamorskich ekspertów mięsa, które w pewnych wypadkach miały również własną sieć sklepów detalicznych. Nie przeszkadzało to im w otrzymywaniu odszkodowania od rządu. Obecnie prasa socjalistyczna w Anglii rozpoczęła energiczną kampanię za zniesieniem tych niemoralnych dochodów.

Możemy zadać sobie pytanie, co by powiedzieli nasi hurtownicy, gdyby ich marże zarobkowe określono na 2 procent, jak to miało miejsce w Anglii za premierostwa Churchilla.

Specjalny wywiad „Tygodnia" z ambasadorem Oskarem Langem

AKTUALNE PROBLEMY MIĘDZYNARODOWE

Korzystając z pobytu w stolicy ambasadora Oskara Langego — delegata Polski w Radzie Bezpieczeństwa, poprosiliśmy go, aby zechciał naświetlić naszym czytelnikom zagadnienia poruszane ostatnio na Radzie Bezpieczeństwa.

— Panie Ambasadorze, ostatnio na arenie Rady Bezpieczeństwa rozgrywały się ważne sprawy, takie jak Indonezji, Grecji i Egiptu. Czy nie zechciałby Pan podzielić się z nami swoimi obserwacjami? Zacznijmy od Indonezji.

Indonezja

— W sprawie Indonezji Rada Bezpieczeństwa odniosła sukces. Jak wiadomo, sprawę tę wniosły na porządek dzienny obrad Australia i Indie, żądając aby Rada zawezwała strony, to znaczy Indonezję i Holandię, do natychmiastowego zaprzestania działań wojennych. Ponieważ wojnę rozpoczęła Holandia, apel ten skierowany był w istocie do niej. Holandia broniła się tym, że Republika Indonezyjska nie jest państwem suwerennym, lecz częścią Imperium Holenderskiego, wobec tego zatarg jest sprawą wewnętrzną i nie podlega kompetencji Rady Bezpieczeństwa. Stanowisko Holandii poparły delegacje Anglii, Francji i Belgii. Rada Bezpieczeństwa ośmiu głosami przeciwko trzem (to jest Anglii, Francji i Belgii) wstrzymującym się od głosowania, zawezwała strony do natychmiastowego zaprzestania działań wojennych. Ponadto, Rada Bezpieczeństwa zaleciła stronom pokojowe załatwienie sporu przy pomocy arbitrażu albo innych środków przewidzianych kartą Narodów Zjednoczonych. Następnie Indie wysunęły propozycję, aby Rada zażądała wycofania wojsk na stanowiska, jakie zajmowały przed rozpoczęciem działań wojennych. Propozycja ta została formalnie przedstawiona w rezolucji delegacji radzieckiej. Poparła ją również delegacja polska. Niestety, przy głosowaniu nie przeszła. Na skutek wezwania Rady Bezpieczeństwa, nastąpiło zaprzestanie działań wojennych.

— Jednak sprawa ta nie jest jeszcze zakończona. Jaki według Pana weźmie ona obrót?

— Słusznie, sprawa nie jest jeszcze zakończona, odbywają się dalsze dyskusje na temat rozstrzygnięcia sporu. Holandia chce mediacji amerykańskiej, natomiast Indonezja, mediacji poprzez komisję międzynarodowe. Okazuje się również, że zachodzą wciąż jeszcze zatargi między obu wrogimi armiami. Holendrzy okazują się bardzo oporni w przeprowadzeniu zawieszenia działań wojennych. Będzie trzeba wysłać obserwatorów dla dopilnowania przeprowadzenia rozejmu.

Grecja

— Przejdźmy teraz do sprawy Grecji. Wiemy, że nie jest ona łatwa. Czy nie zechciałby Pan przedstawić jej rozwój?

— Sprawę grecką wniósł na Radę Bezpieczeństwa rząd grecki, który twierdził, że rządy Jugosławii, Bułgarii i Albanii, popierają powstańców greckich. Wszyscy na pewno wiedzą, że Rada Bezpieczeństwa wysłała dla zbadania faktycznego stanu rzeczy specjalną komisję do Grecji. Komisja ta podzieliła się na dwie grupy. Jedni uważali, że istnieje pewne potwierdzenie oskarżeń greckich, natomiast inni, do których należał przedstawiciel Polski, są zdania, że oskarżenie jest zupełnie bezpodstawne. Wojna domowa toczy się na terytorium całej Grecji, a nawet na Krecie, trudno więc dowodzić,ażeby akcja powstańców była wynikiem działalności północnych jej sąsiadów. Zresztą sytuacja wewnętrzna Grecji dostatecznie tłumaczy przyczyny tej wojny. Na Radzie Bezpieczeństwa Amerykanie wystąpili z propozycją ustanowienia na przeciąg dwóch lat komisji kontrolnej, która rozciągnęłaby nadzór nad granicami Grecji. Komisja ta miałaby posiadać swobodę podróżowania po wszystkich państwach bałkańskich oraz prawo bezpośredniego kontrolowania stosunków, bez porozumienia się z rządami państw zainteresowanych. Propozycja ta napotkała na opór Bułgarii, Jugosławii i Albanii, a stanowisko ich poparły Związek Radziecki i Polska. Zachodziła bowiem obawa, że komisja stanie się narzędziem intryg politycznych na Bałkanach i że wobec przewidzianego składu, będzie służyła za parawan dla usprawiedliwienia prowokacji granicznych obecnego rządu greckiego. Przy głosowaniu nad tą rezolucją, delegacja radziecka założyła veto. Następnie przedstawiła rezolucję, stwierdzającą, że zaburzenia są spowodowane przyczynami wewnętrznymi i żądającą wycofania wojsk obcych i obcego personelu z terytorium Grecji. Ale i ta rezolucja nie przeszła. W tych warunkach delegacja polska wysunęła rezolucję kompromisową, zalecającą aby państwa bałkańskie, to znaczy Grecja, Albania i Bułgaria, podjęły stosunki dyplomatyczne, (Grecja uważa się bowiem za będącą w stanie wojny z Albanią) oraz znormalizowanie stosunków sąsiedzkich i dyplomatycznych między Grecją a Jugosławią. Następnie rezolucja nasza zaleciła, aby Grecja i jej północni sąsiedzi, zawarli dwustronne umowy graniczne i ustanowili dwustronne graniczne komisje kontrolne. Wreszcie zaleciliśmy polubowne załatwienie sprawy uchodźców politycznych. Nasza próba znalezienia kompromisowego rozwiązania nie udała się jednak, ponieważ rezolucja otrzymała tylko dwa głosy przy reszcie wstrzymujących się od głosowania. Delegacja nasza będzie jednak nadal czyniła wszelkie wysiłki, aby ugodowo załatwić spór. W międzyczasie sprawa zaostrzyła się i Amerykanie zażądali, aby Rada Bezpieczeństwa stwierdziła, że północni sąsiedzi Grecji zagrażają jej pokojowi. Stwierdzenie takie stworzyłoby możliwości zastosowania sankcji wobec Bułgarii, Albanii i Jugosławii. Jednak wszelkie takie propozycje napotykają na veto Związku Radzieckiego. W ten sposób sprawa znalazła się w impasie. Prawdopodobnie Amerykanie wniosą sprawę na Walne Zgromadzenie i tam będą się starali o przeprowadzenie swojego stanowiska.



Egipt

— Z kolei przejdźmy do zatargu egipsko - angielskiego. Jakie stanowisko zajęła Polska w tej sprawie?

— Jak wiadomo chodzi tu o rewizję traktatu egipsko - angielskiego z 1936 roku, na podstawie którego Wielka Brytania ma prawo utrzymywania wojsk na terenie Egiptu. Ponadto Egipt żąda wycofania wojsk angielskich z Sudanu i przyznania pełnej suwerenności.

(Polska popiera w pełni żądania Egiptu, uważamy bowiem, że są one słuszne i konieczne dla realizacji niepodległości Egiptu. Żądając wycofania wojsk angielskich z Egiptu zastrzegliśmy sobie jednak, że oceniamy w pełni rolę, jaką wojska angielskie odegrały w ostatniej wojnie, kiedy obroniły Egipt przed inwazją niemiecką. W sprawie Sudanu jesteśmy również za wycofaniem wojsk i administracji angielskiej z tego kraju, a co do połączenia Sudanu z Egiptem uważamy, że należy wpierw zbadać stanowisko ludności sudańskiej w tej sprawie).

Hiszpania

— Panie ambasadorze, jeszcze kilka słów o Hiszpanii. W jakim stadium znajduje się teraz ta sprawa?

— Ostatnie Walne Zgromadzenie, jak już kiedyś na tym miejscu mówiłem, uchwaliło odwołanie ambasadorów i ministrów pełnomocnych wszystkich państw w Hiszpanii. Rezolucję tę wykonały wszystkie państwa z wyjątkiem Argentyny i Republiki Dominikańskiej. Ponadto rezolucja zaleciła, aby Rada Bezpieczeństwa zajęła się tą sprawą, o ile po upływie pewnego okresu czasu sytuacja w Hiszpanii nie ulegnie zmianie. Dotychczas Rada sprawą tą się nie zajęła, ponieważ sytuacja międzynarodowa temu nie sprzyja. W międzyczasie Trygve Lie postawił ją na porządek dzienny obrad Walnego Zgromadzenia, które odbędzie się we wrześniu bieżącego roku. Nie ulega wątpliwości, że sprawa ta ponownie wejdzie na Radę Bezpieczeństwa.

Armia ONZ

— Na zakończenie jeszcze jedno pytanie. Jak przedstawia się sprawa sił zbrojnych stawianych do dyspozycji ONZ i czy Rada Bezpieczeństwa zajmuje się tą sprawą?

— Owszem. Rada Bezpieczeństwa zajmuje się tą sprawą. Na podstawie karty Narodów Zjednoczonych wszystkie państwa winny stawić do dyspozycji ONZ pewną ilość sił zbrojnych. W pierwszym etapie siły te mają dać stali członkowie, czyli „Wielka Piątka". Sprawą tą zajmuje się specjalny Komitet Sztabu Generalnego przy Radzie Bezpieczeństwa. Osiągnięto już zgodę co do większości punktów. Istnieje jeszcze rozbieżność co do dwu spraw. Pierwsza — to kwestia wkładu wojskowego poszczególnych członków „Wielkiej Piątki". Związek Radziecki stoi na stanowisku równości wkładu, to znaczy, że każdy ze stałych członków ma oddać do dyspozycji taką samą ilość wojska i w tym samym składzie. Natomiast reszta członków uważa, że wkład powinien być równowartościowy, ale nie koniecznie równy. Związek Radziecki dopuszcza w razie potrzeby wyjątki od zasady równości. Wobec tego możliwe jest osiągnięcie porozumienia w tej sprawie, o ile druga strona będzie gotowa uznać, że wkłady powinny być równe w miarę możności. Sądzę, że takie porozumienie będzie osiągnięte.

— A jaki jest drugi punkt sporny?

— Drugi — to sprawa lokacji sił zbrojnych oraz baz. Większość członków Wielkiej Piątki uważa, że wojska ustanowione do dyspozycji ONZ mogą być stacjonowane w innych krajach i posiadać tam swoje bazy. Delegacja radziecka uważa, że wojska powinny być stacjonowane na terenie państwa własnego i opuszczać je tylko na wezwanie Rady Bezpieczeństwa i nie dopuszcza istnienia baz zagranicznych. Delegacja radziecka motywuje swoje stanowisko tym, że w wypadku przejścia propozycji poprzednio omawianej, może dojść do uprawomocnienia pod płaszczykiem autorytetu Rady Bezpieczeństwa utrzymywanie przez wielkie państwa sił zbrojnych i baz na terenach państw mniejszych oraz na terenach dawnych kolonialnych.

Wywiad przeprowadziła

KATARZYNA KOWALSKA

DWA MORSKIE FILMY
które niedługo zobaczymy



„Admirał Nachimow" — film radziecki o bohaterskim obrońcy Sewastopola w roku 1854



„Konwój" — film amerykański o losach konwoju amerykańskiego płynącego w czasie ostatniej wojny do północnych wybrzeży Związku Radzieckiego

Karol Małcużyński

MAŁY REPORTAŻ Z DUŻEGO ŚWIATA

Utrapieniem i zmorą wszystkich podróżujących na całym świecie są formalności paszportowe i rewizje celne. Celnicy nigdy nie cieszyli się sympatią: niechęć do nich datuje się wszak od czasów ewangelicznych.

Podczas rewizji celnej człowiek zostaje urażony w sposób bardzo dotkliwy, naruszone zostaje jego poczucie własności. My, którzy mamy za złe, jeśli nam ktoś niepowołany zajrzał do biurka, nie mówiąc już o sięgnięciu do kieszeni, my, którzy przyjmujemy z niesmakiem zaglądanie przez ramię komuś czytającemu gazetę, nie mówiąc już o czytaniu cudzych listów, musimy oto z bezsilną wściekłością przyglądać się, jak obcy ludzie bezceremonialnie grzebią w naszych bagażach, jak z niezrozumiałym zainteresowaniem pytają nas o zawartość pięknie opakowanego zawiniątka, jak z małpią złośliwością każą nam zdejmować z półki najcięższą, przywaloną od góry walizkę po to, by ją otworzyć i pogmerać ręką w środku. Musimy tolerować bezczelne i niestosowne pytania, jak na przykład, że wieziemy papierosów, ile mamy ze sobą pieniędzy, lub też, jak długo zatrzymujemy się w takim a takim kraju. Chciałoby się odpowiedzieć: „A Panom co do tego" i palnąć parę słów o dobrym wychowaniu, którego podstawą jest dyskrecja i subtelność. Na nic to się jednak zda wobec celników, którzy z zawodu, z obowiązku i z zamiłowania są niesubtelni i niedyskretni.

Dochodzi czasem do rzeczy zupełnie gorszących i oburzenia godnych. Przy odrobinie pecha można się narazić na tak zwaną osobistą rewizję. Taszczą cię wtedy do brudnego, odrapanego pomieszczenia, w którym w zimie jest potwornie zimno, a w lecie panuje upał nie do zniesienia. Każą ci się rozbierać, obmacują twoje kieszenie, wyrzucają z marynarki i spodni różne drobiazgi, które tam od lat na swoim miejscu spoczywały — i robią cały szereg równie obrzydliwych, niesłosownych czynności.

Wszystko to razem sprawia, że przed przebyciem tej ospy każdy podróżny — choćby sumienie jego było czyste jak łza—czuje nieprzyjemną tremę. Gdy będą państwo wyjeżdżać za granicę, radzę obserwować swoich towarzyszy przed, podczas i po rewizji celnej. Wszyscy bez wyjątku zachowywać się będą tak, jakby szmuglowali pokaźne ilości złota, kokainy tudzież tajnej bibuły, nie mówiąc o broni palnej. Reakcje będą wprawdzie różne — różne są bowiem temperamenty i usposobienia — niemniej wszyscy zachowywać się będą w sposób podejrzany.

Trzeba zresztą szczerze przyznać, że rzadko który z podróżnych nie wiezie czegoś zakazanego. Każdy celnik wie doskonale, że w międzynarodowym pociągu, przejeżdżającym przez granicę z całą pewnością znajduje się kontrabanda pokaźnej wartości. Nie wynaleziono dotychczas sposobu na skuteczne i szybkie przeprowadzanie przykrego zabiegu zwanego rewizją. Pomysłowość ludzi pragnących coś przemycić jest nieograniczona : gdyby chciano poddać naprawdę dokładnemu zbadaniu wszystkie bagaże i wszystkie osoby, pociąg musiałby stać na granicy kilkanaście godzin. Toteż — mimo groźnych pozorów — dla przeciętnego pasażera rewizja jest przykrą — to prawda i deprymującą, ale tylko formalnością.

Zawsze jest takich paru nieszczęśników, którzy zostają wybrani spośród jadących i przebyć muszą opisany poprzednio łańcuch tortur, aż do rewizji osobistej — to znaczy na golasa — włącznie. Wybiera się ich po prostu ze względów pedagogicznych, żeby zanadto nie rozzuchwalić nieszczęsnych i zastrachanych turystów, żeby nie próbowali — jak to się u nas mówi — przemycać czegoś „na grandę". Przy tej metodzie — drżyj nieszczęśliwy, bowiem nie znasz ani dnia ani godziny. Z równym powodzeniem ofiarą możesz paść ty, jak i twój sąsiad, jeśli tę, pierwszą granicę uda ci się przebyć psim swędem, to któż ci zagwarantuje, że na następnej ty właśnie nie staniesz się pastwą tych strasznych ludzi.

Brak pewności siebie jest jeszcze w dużym stopniu powiększony faktem, że tak na dobrą sprawę, to nigdy nie wiadomo, co wolno mieć ze sobą, czego przewozić nie wolno, gdzie i ile można ze sobą zabrać dewiz, co należy oclić, a co ocleniu nie podlega. W każdym kraju obowiązują inne przepisy, dzisiaj sprawa jest szczególnie ciężka, gdyż w powojennych warunkach ulegają one ciągłym zmianom. W każdym kraju interesują się celnicy czym innym i za czym innym węszą, szukając kontrabandy. Ich ulubionym przedmiotem zainteresowania są naogół: złoto i dewizy zagraniczne, a przede wszystkim dolary.

Jednym z nielicznych wyjątków jest Szwajcaria — tutaj możecie przywieźć, o ile wam się podoba wagon, możecie wywieźć beczułkę dolarów, możecie to wszystko ostentacyjnie zadeklarować na granicy, a straż celna szwajcarska nie okaże tym faktem najmniejszego zainteresowania.

Szwajcaria jest bowiem jednym z nielicznych krajów na świecie, który nie wprowadził ograniczeń walutowych i który złota ma aż za dużo. W tym to dziwnym kraju jegomość, który rozwozi po peronie w bufecie na kółkach czekoladę, lemoniadę i papierosy, jest jednocześnie jeżdżącym kantorem wymiany. Na czapce ma umieszczony napis „échange de monnaie" i od przejeżdżających podróżnych gotów jest przyjąć opłatę nie tylko we frankach szwajcarskich, ale także w dolarach, funtach, frankach francuskich, a nawet w lirach włoskich — we wszystkich walutach rejestrowanych w bankach szwajcarskich. Chodzi on sobie codziennie do banku, wypisuje skrupulatnie notowania giełdowe, w ciągu dnia przyjmuje od podróżnych wszystkie pieniądze, które wieczorem albo nazajutrz wymienia z kolei w banku. W tym bowiem banku możecie pójść do okienka i kupić — sprzedać — zamienić, dolary na funty, funty na franki, franki na korony — jak dusza zapragnie.

Byłem ogromnie zdziwiony, gdy mi pierwszy raz opowiedziano, że w Szwajcarii kurs giełdowy dolara jest niższy od oficjalnego. Dla oficjalnych rozliczeń przyjęto kurs 4,20 fr. szwajc. za dolara, w banku możecie kupić dolory po 3 i pół franka. Po prostu frank jest w tej chwili mocniejszą walutą od dolara. Wynikały z tego przezabawne historie. Oto ktoś sprytny zorientował się szybko i prosił o przekazanie mu z Ameryki 1.000 dolarów. Ponieważ był to przekaz zagraniczny, bank wypłacił mu po oficjalnym kursie, a więc w tym wypadku 4.200 franków. Jegomość schował do kieszeni pieniądze, poszedł do sąsiedniego okienka i zakupił tam 1.000 dolarów, płacąc oczywiście po notowanym dzisiaj kursie 3.500 franków. Podszedł z kolei do trzeciego okienka, wysłał stamtąd 1.000 dolarów z pięknym podziękowaniem do Ameryki, a sam został z zarobionymi w prosty, niekłopotliwy i właściwie uczciwy sposób 700 frankami.

Kombinacje takie zaczęły się szerzyć nagminnie, przerzucono się na transakcje w funtach szterlingach. Tu możliwości były jeszcze większe, gdyż kurs oficjalny wynosi ok. 17 funtów, a bankowy wahał się od 10 do 12.

Trzeba było wprowadzić jedyne w swoim rodzaju ograniczenia. — Szwajcaria zaczęła się bronić przed przekazywaniem dolarów i funtów z zagranicy. Dziś na przesłanie do Szwajcarii przekazu zagranicznego trzeba mieć specjalne zezwolenie. Niemniej jednak umowa turystyczna zawarta z Anglią, przewiduje dla angielskich przyjezdnych możliwość przekazywania pewnych, ograniczonych sum po kursie oficjalnym, co w efekcie sprawia, że ich pobyt w Szwajcarii wypada niemalże gratisowo.

No, ale dość już o tych czarnogiełdziarskich historiach. Mówić mieliśmy o celnikach. Po tym wszystkim zrozumiałe się staje, że w Szwajcarii celnicy zupełnie się nie przejmują złotem ani dewizami. Domyślacie się więc państwo, jak szeroko otworzyłem ze zdumienia oczy, a obawiam się, że i usta, gdy ta — zdawałoby się najbardziej liberalna straż celna na świecie, bardzo energicznie indagowała mnie, czy nie mam ze sobą przypadkiem ...cukru i bibułki do papierosów. Z tym cukrem, to już byłem przyzwyczajony, bo go brakuje w całej Europie za wyjątkiem Polski, ale bibułka — do dziś dnia tego nie rozumiem. Celnicy byli stanowczy i musiałem uroczyście zadeklarować, że nie wiozę — tak groźnego widocznie dla tego miłego państwa — przemytu. W parę godzin po tym Włosi poszukiwali z zapałem godnym lepszej sprawy, czy ktoś nie ukrywa kawy.

Francuzi zupełnie nie interesują się na przykład kosmetykami i perfumami, które są i tak ich artykułem eksportowym natomiast po drugiej stronie Kanału — Anglicy są właśnie dla tych rzeczy specjalnie nieubłagani i domagają się ich oclenia.

Komplikacje są zgoła nieprzewidziane. Przyjeżdżamy na przykład do Zebrzydowic. Polskim celnikom oświadczamy, że mamy ze sobą 10 paczek papierosów. Przyjmują to z miłym uśmiechem, gdyż taką właśnie ilość papierosów można z Polski wywieźć. Oczywistym więc jest, że mają do czynienia z lojalnym obywatelem, szanującym przepisy. Przejeżdżamy za chwilę granicę polsko-czeską i zostajemy poddani ceremonii rewizji przez Czechów. Ci marszczą się groźnie, gdyż do Czechosłowacji wolno przywieźć tylko 100 papierosów. W ten sposób — po ujechaniu 5 kilometrów staliśmy się nagle zupełnie nielojalni — co gorsza nie wiemy zupełnie co począć ze stu „nielegalnymi" papierosami.

Ciężkie, bardzo ciężkie jest życie człowieka zmuszonego do podróżowania.



IRENA KWIATKOWSKA
znakomita młoda aktorka, którą obecnie podziwia Warszawa w czasie gościny krakowskich „Siedmiu kotów".



Rys. Jan Lenica

Rysunek bez podpisu.



Fot. Film Polski

WALENTYNOWICZ
świetny rysownik, wrócił z emigracji do kraju. Jego rysunki zobaczymy wkrótce na łamach „Tygodnia".

PALESTYNA PRACUJE

W RAMACH SPÓŁDZIELCZYCH I POD KIERUNKIEM ZW. ZAWODOWYCH

Na wstępie wypada zastrzec się iż niżej będzie mowa tylko o odnośnych organizacjach na odcinku żydowskim, gdyż sektor arabski, jeśli chodzi o związki zawodowe nie przedstawia nic specjalnie interesującego dla polskiego czytelnika, natomiast spółdzielczość arabska jest jeszcze w powijakach. Wystarczy nadmienić, iż w roku 1943 w Palestynie było 1022 spółdzielni żydowskich i 170 arabskich. Zupełnie inaczej kształtuje się sytuacja żydowskich związków zawodowych. W języku hebrajskim mają one dość skomplikowaną nazwę, która się streszcza w jednym słowie „Histadruth".

Cechy charakterystyczne „Histadruthu"

Histadruth jako ogólna żydowska organizacja ludzi pracy w Palestynie różni się od związków zawodowych innych krajów. Należą do niej zarówno pracownicy rolni jak i przemysłowi jak również i rzemieślnicy pracujący w miastach, liczy ona 125.000 członków, co stanowi 73% ogółu ludności pracującej. Jedno z najbardziej charakterystycznych cech Histadruthu jest wysoki stopień uspołecznienia zrzeszonych członków. Mają oni fanatyczną wiarę w swe posłannictwo jako pionierów żydowskiej ojczyzny, ideologia ich stawia na pierwszym miejscu pracę, jako zasadniczy pierwiastek życia i sprawia, że synowie i córki drobnych handlarzy z Europy i często ludzie z wyższym wykształceniem przemieniają się na pracowników zdolnych do najcięższej roboty fizycznej przy odbudowie Palestyny.

W pierwszej linii stara się Histadruth o dostarczenie pracy swym członkom. Niezależnie od swej działalności jako centralny związek zawodowy . Histadruth bierze udział bezpośrednio lub pośrednio w coraz większym stopniu w życiu ekonomicznym Palestyny, jako producent i przedawca. Należy przy tym podkreślić interesujące zjawisko, a mianowicie charakter w którym występuje Histadruth jako przedsiębiorca. Dąży on systematycznie i planowo, do przejmowania, względnie organizowania poszczególnych sektorów życia gospodarczego w Palestynie. Jako przykład można przytoczyć przyjęcie przez Histadruth największego przedsiębiorstwa budowlanego „Solel Boneh", które wyrugowało z rynku inne nawet angielskie przedsiębiorstwa, na skutek swej dobrej organizacji i poważnych podstaw finansowych. Celem zabezpieczenia na wypadek braku pracy istnieje osobny fundusz bezrobocia.

Rola Histadruthu jako producenta ma większy zasięg w rolnictwie niż w przemyśle. Podczas gdy związki zawodowe innych krajów zawdzięczają swój rozwój głównie miastom, w Palestynie ma się rzecz odwrotnie. Patrząc na działalność Histadruthu z punktu widzenia liczby pracowników i wielkości inwestowanego kapitału, musimy skontatować przeważny wpływ rolnictwa. Około 2/3 całej produkcji mleka, jaj i warzyw w Palestynie jest kontrolowana przez Histadruth. Również coraz częstszy objaw przejawiający się w życiu ekonomicznym Palestyny, polegający na przyłączaniu zakładów przemysłowych do osiedli rolniczych świadczy o wpływie rolnictwa.

Dalszym charakterystycznym czynnikiem działalności Histadruthu jest rzadko spotykane połączenie spółdzielni producentów i konsumentów. Specjaliści w sprawach spółdzielczych nie przepowiadali wielkiego powodzenia tego rodzaju połączeniom, twierdząc że spółdzielnie takie nie będą rentowne. Trzeba jednak przyznać, że na ogół w Palestynie system ten powiódł się głównie z tej przyczyny, że klasa robotnicza, choć przeważnie nie przyzwyczajona do pracy na roli wykazała niezwykłą wytrwałość i ofiarność. Obserwacje dotychczasowe dowodzą że siła idei spółdzielczych stwarza ten sam, jeżeli nie silniejszy impuls, co dążenie do własności prywatnej i dobrobytu jednostki. Trzeba jednak przyznać, że ze stanowiska socjologicznego idea spółdzielczości szczególnie na odcinku rolniczym wymaga bardzo wiele poświęcenia i samozaparcia. Następna cecha charakterystyczna Histadruthu jest niezwykle oszczędna administracja. Przez szereg lat wynagrodzenia miesięczne pracowników nawet najwyżej wykwalifikowanych wahały się w granicach od 20 do 30 funtów pal. (dla porównania przytaczamy, że zasiłek wypłacany uchodźcy polskiemu w Palestynie wynosił 12 funtów na osobę, a na rodzinę złożoną z 3 osób wypadało przeszło 30 funtów). Wprawdzie wynikiem tego było, że poprzedni pracownik, mający liczniejszą rodzinę zarabiał prawie, tyle co kierownik instytucji rozporządzającej setkami tysięcy funtów, jednak wskutek ofiarności członków Histadruthu system ten okazał się na ogół pożyteczny.

Jeżeli zapytamy, jaki czynnik wpłynął na to, że Histradruth w przeciągu 25 lat swego rozwoju stał się rozstrzygający w gospodarce palestyńskiej, to, odpowiedź na to pytanie jest raczej natury nie ekonomicznej. Rozwój Histadruthu dowodzi bowiem, że można osiągnąć wielkie wyniki nawet przy małym kapitale zakładowym, opierając się na poświęceniu, idealizmie i entuzjazmie członków, którzy nie wnosili nic więcej prócz zapału do pracy, a nawet gotowości do ofiary życia. (zakładanie osiedli w okolicach malarycznych).

Rolnictwo

Pod pojęciem rolnictwa w Palestynie należy rozumieć coś pośredniego między rolnictwem a przemysłem, z uwagi na to, że w zakres pracy na roli wchodzą: uprawa zbóż, nasion, roślin pastewnych, ogrodnictwo, hodowla bydła, drobiu, mleczarstwo, produkcja owoców cytrusowych, bananów, winogron, win i związany z tym handel. Należy tu zaznaczyć, iż robotniczy ruch żydowski w Palestynie stara się wszelkimi siłami urzeczywistnić ideę kolonizacji rolniczej w Palestynie, co znajduje swój wyraz w stwarzaniu odpowiednich spółdzielni.

Od roku 1920 możemy zaobserwować rozwój dwóch głównych typów osiedli rolniczych, opartych na idei spółdzielczości:

1. Osiedla zbiorowe (kibuce)
2. Osiedla drobnych rolników (moszawy).

Kibuce są osiedlami zbiorowymi w których mieszkają członkowie pracujący, ich dzieci i rodzice. Dzieci i rodzice członków pracujących są wspólnie utrzymywani przez całe osiedle. Organizacja osiedla oparta jest na zasadach spółdzielczych. Całe życie, począwszy od mieszkania, poprzez kuchnię, czytelnię, szkołę itd jest ujęte w pewne ustalone ramy. Istnieją różne typy tego rodzaju osiedli, a mianowicie, od takich gdzie ich członkowie mają stosunkowo dużą swobodę, do osiedli o bardzo rygorystycznym regulaminie, gdzie członkowie nie posiadają nawet własnego ubrania i muszą n.p. udając się do miasta, uzyskiwać w zarządzie gotówkę na bilet autobusowy. We wszystkich osiedlach zorganizowano doskonałą opiekę nad dzieckiem. Dziecko od urodzenia ma idealną opiekę pielęgniarską w żłobkach, przedszkolach i szkołach.

W osiedlach drugiego typu, każdy rolnik posiada swój własny dom i rolę o obszarze zależnym od materialnych możliwości rolnika. Tutaj również obowiązuje zasada wykluczająca najemną pracę.

Zaznaczyć wypada, że praktyka okazała, iż pierwszy typ osiedla (kibuce) okazał się zwłaszcza w okresie kryzysu gospodarczego ekonomicznie odporniejszy od typu drugiego. Tajemnicą powodzenia kibuców jest w pierwszym rzędzie ideologiczne podejście do tego zagadnienia, następnie dobra organizacja, a wreszcie olbrzymia pomoc finansowa ze strony różnych nieraz nieoprocentowanych funduszów. Dla przykładu należy wymienić, iż z roku 1942 na środki obrotowe kibuców składało się 81,6% funduszów własnych.



Widok z lotu ptaka na osiedle spółdzielcze Nahalab, założone w 1921 r. na terenach malarycznych w pobliżu Nazaretu.



Osiedle Kfar Hagla, założone na podmokłym gruncie w 1931 r, nad brzegiem Morza Śródziemnego

Finanse Histadruthu

Finansowaniem Histadruthu zajmuje się osobny bank pracowniczy (Nir). Bank ten powstał podczas pierwszej wojny światowej z bardzo skromnych początków (18.000 funtów, jako dar Żydów amerykańskich), poniższa tabelka przedstawia w krótkości wyniki jego gospodarki w funtach pal. (cyfry zaokrąglone).

Rok	Kapitał własny	pożyczki	zysk
1927	84.600	80.000	—
1938	159.944	487.688	8.617
1943	276.000	1,014.000	13.900

Rubryka kapitał własny jest szczególnie charakterystyczna ze względu na stały wzrost kapitału, czego nie można powiedzieć o innych bankach palestyńskich, przy czym bank robotniczy nie płacił nigdy większej dywidendy niż 4%. Koszta administracyjne banku są bardzo niskie, pensje dyrektorów i urzędników niewielkie, liczba pracowników bankowych mała. Bank nie udziela pożyczek poszczególnym jednostkom, tylko prawie wyłącznie osiedlom, organizacjom robotniczym, spółdzielniom wiejskim i miejskim itp.

Organizacyjnie złączona z tym bankiem jest sieć towarzystw kredytowych spółdzielczych, które na małą skalę spełniają w swoim zakresie to samo zadanie co bank robotniczy i udzielają kredytów także indywidualnych. Liczba tych towarzystw stale wzrasta, w roku 1943 było ich 19 (16 we wsiach, 3 w miastach), liczba członków wynosiła w roku 1933 — 11.264, w roku 1943 — 27.070. Kredyty przeznaczone są na następujące cele: budynki, zakup maszyn i narzędzi, kształcenie w rzemiośle, utrzymanie rodziny imigranta itp. Wysokość pożyczek waha się w granicach od 1 funta do 120.000 funtów, z przewagą drobnych pożyczek.

Przedsiębiorstwa rolnicze

Naokoło banku robotniczego, jako finansowej centrali grupują się koncerny wyłonione z potrzeb rolnictwa. Na pierwszym miejscu należy wymienić „Tnuvah", której celem jest odbiór produktów rolniczych z osiedli i sprzedaż ich konsumentom, tj. członkom organizacji. Instytucja ta oparta jest na zasadach wyłącznie spółdzielczych. Zadania jej są niezwykle wszechstronne. Jest ona bowiem nie tylko agencją sprzedaży dla produkcji rolnej ciągle wzrastającej, ale nadto musi pogodzić dwa sprzeczne interesy: uzyskać możliwie godziwy i duży zysk dla rolnika, sprzedając równocześnie po możliwie niskiej cenie konsumentowi. W tym celu zajmuje się ona procesem produkcji i przeróbką surowca. Odnosi się to szczególnie do mleka i doprowadziło do założenia szeregu postępowych zakładów mleczarskich, wytwórni serów itd. W kraju, w którym chów nierogacizny prawie nie istnieje, zużytkowanie mleka odtłuszczonego — aby przytoczyć jeden tylko przykład — stanowi ważne zagadnienie. Nadto rolnictwo palestyńskie wytwarza szereg surowców, które w formie przerobionej opłacają się lepiej niż w naturalnej, np. owoce, wełna skóry, łupiny itd. Zadania te, do któ-

(Dokończenie na str. 7)

Jerzy Ficowski

TAJEMNICA

CIEKAWE DZIEJE MAŁEGO NARODU WĘDROWCÓW

Cyganie w Polsce

CYGANIE — to jeden z najdziwniejszych ludów świata. Jak wskazują badania antropologiczne, oraz studia nad pochodzeniem nazw topograficznych, przywędrowali oni do Europy z Indii około XII wieku. Na podstawie wyników wyżej wymienionych badań można nawet w przybliżeniu ustalić drogę, jaką posuwali się Cyganie w głąb Europy.

Od XIV wieku

Do Polski zaczęli przenikać już w XIV wieku, a po stu latach byli już na całym jej terytorium. Cyganie żyjący w Polsce, to lud niejednolity. Można by podzielić go na dwie grupy. Grupa pierwsza, to cyganie nizinni, którzy po edykcie banicyjnym, wydanym na nich w Niemczech w 1577 roku przywędrowali do Polski. Grupa druga, to Cyganie karpaccy, zamieszkujący powiaty górskie byłej Galicji zachodniej, gdzie zaczynają się pojawiać w pierwszej połowie XV wieku, przybywając z Rumunii. Dialekt pierwszej z tych dwu grup odznacza się licznymi zapożyczeniami języka niemieckiego; dialekt Cyganów karpackich najbardziej zbliżony jest do dialektu Cyganów słowackich.

W drugiej połowie XIV wieku i w XV w. znajdujemy Cyganów na północ i zachód od ziem wołoskich. W polskich zapiskach sądowych i w Liber beneficiorum" Długosza znajdujemy nazwy osad powstałych w związku z osadnictwem cygańskim. Tak np. przed rokiem 1353 znajdujemy nazwę wsi „Czigunowycze" (Cyganowice) w parafii Stary Sącz. Pod 1428 rokiem czytamy tam nazwisko szlacheckie Cygan, a pod nieco późniejszą datą — nazwę osady w Halickim — Cyhanowa Łuka.

Pojawiają się też świadectwa przybycia Cyganów z Niemiec w zachodnich częściach Polski (np. w 1403 r. wzmianka w księgach ziemskich ziemi pyzdrskiej o osadzie Cyganowo).

W XVI wieku są już Cyganie w całej Koronie i na Litwie, skąd przesuwają się do Rosji. Najdawniejszą wzmiankę o wojewodzie Cyganów polskich znalazł Czacki w metryce koronnej pod rokiem 1501.

Za Zygmunta Augusta dopuszczali się Cyganie rabunków na Śląsku pogranicznym. Z tego powodu cesarz Ferdynand I zanosi na nich skargi. Nawiązała się korespondencja między dworem wiedeńskim i polskim. Dnia 19 lipca 1551 r. wysyła kanclerz Ocieski do Wiednia „pro memoria", w którym oświadcza, że gotów jest wypędzić Cyganów z kraju pod warunkiem, że zostaną oni także wypędzeni z Czech, skąd przenikali do Polski. Tak więc już konstytucja z 1557 r. postanawia: „Cyganie, albo ludzie niepotrzebni będą przez nas z ziemi wywolani i na potem nie mają być do niej przyjmowani". Ustawa ta nie weszła w życie i w 1565 roku uchwalono znowu: „iż przez Cygany w Koronie siła złego się dzieje, rozkazujemy, aby ich koniecznie od tego czasu w Koronie i wszystkich Państwach Naszych nie było..."

Jednak Cyganie w dalszym ciągu przebywali na ziemiach Rzeczypospolitej, a starostowie przez palce patrzyli na ich wędrówki. W 1578 r. ustawa grozi karami tym, którzyby dawali Cyganom przytułek. „Cygani, acz są statutem wywolani, jednak ich przechowują, przeto ktoby je śmiał przyjąć i przechowywać, aby był pozwany od każdego, kto by takiemu akcją uczynić chciał przed Urząd Grodzki, a tak i karany być ma nie inaczej jeno jak ten, który z bannitami spółkuje." (1578. „Cygani" fol. 335).

Przed surowością tego prawa uciekają Cyganie, najczęściej chroniąc się u obywateli ziemi podlaskiej. To dawało okazję do oskarżeń. Szlachta po-

ska z Podlasia zwraca się z prośbą o uwolnienie jej od nakazów wyżej wymienionej ustawy. Sejm w roku 1607 przychyla się do ich prośby i tylko na samych starostów wkłada obowiązek „Cygany i hultaje wyganiać".

Wójt Wasil

Na Litwie stosunek władz do Cyganów był początkowo bardziej różny niż w Koronie i oznaczał się dużą tolerancją. W 1501 roku, dnia 25 maja w Wilnie Aleksander Jagiellończyk wydał przywilej dla Cyganów. Mówi on: „Bił nam czołem Wasil, starszy wójt i Cygany jego i prosił Majestatu Naszego, żbyśmy ich prośbie i czołobitności zadosyć uczynili i tego wójta Wasila potwierdzili. Tym więc listem naszym pomienionego Wasila, wójta cygańskiego potwierdziwszy nadajemy jemu moc i prawo Cyganów sądzić i wszelkie między nimi spory rozsądzać. Wasil wójt i Cygany jego po wszystkich ziemiach noszych Wielkiego Księstwa Litewskiego i jego lennościach mają mieć wszelką swobodę podług dawnych praw, obyczajów i listów książęcych danych".

Drugi Statut Litewski zabraniał zaciągać Cyganów do wojska, żebrzących Cygnów uwalniał od podatków. Jedynie



Birka, małżonka „króla cyganów.

Fot. Film Polski

złodziei i podejrzanych o szpiegostwo kazał wypędzać. Jednak z czasem z powodu dużej plagi złodziejstwa Statut Litewski przestaje obowiązywać. Uchwalone zostaje natomiast przyjęcie Konstytucji Koronnej. (Art. XXXV. 35. O Cyganach):

„Iż Cygani są ludzie niepotrzebni próżnujący, którzy nie tylko żadnej posługi, pożytku Nam i nikomu w Rzeczypospolitej nie czynią, ale i owszem szkoda przez nich w oszukiwaniu prostych ludzi, i w kradzieży, a snadź i w zabieraniu potajemnych niemało się dzieje, a czasem wychodząc do inszych ziem, zwłaszcza nieprzyjacielskich, szpiegami i wodzami do złego mogliby się stać. A przeto ustawujemy, aby ich koniecznie od tego czasu nigdzie w Państwie Naszym W. X. L. i w Ziemiach do niego należących dalej nie było chowano, czego Starostowie pograniczni i inszi Dzierżawcy Nasi mają z pilnością przestrzegać, aby do Ziemi Naszej nie wchodzili. A gdy ich który z nich z Starostwa i Urzędu swego wypędzi, aby żaden z inszych stanów poddanych Naszych ich nie przechowywał, pod winą do skarbu naszego dwunastu kop groszy".

Nieufność z jaką odnoszono się do Cyganów była źródłem wielu niesłusznych zarzutów i podejrzeń. Na przykład zarzut szpiegostwa jest tylko na niczym nie opartym podejrzeniem. (Nasuwa się analogia do osławionych żydowskich „Mordów rytualnych" wysnutych z palca chorej wyobraźni.) Kradzieże do-konywane przez Cyganów są rzeczą niesporną, ale jedyny powód zmuszający ich do tego, to nędza. Nędza spotęgowana nieprzychylnym stosunkiem do nich społeczeństwa, wśród którego przebywają.

Sejm w 1624 roku rozciąga powyższe zarządzenie na Serbów i Wołochów. Jednakże mimo tych ostrych uchwał Cyganie nieprzerwanie napływają z Węgier, a rząd polski jest zupełnie bezradny i nie próbuje temu zapobiec. Tylko wśród „czarownic", pławionych i palonych żywcem w Polsce znajdowało się coraz więcej Cyganek. „W Polsce miał diabeł sekwitów nie mało: matączów, wróżków, cyganów..." — pisze ks. Serafin Gamalski w swych „Przestrogach duchownych" (1742 r.).

Królowie cygańscy

Następuje okres pierwszych zwierzchników Cygańskich, zwanych królami. W dniu 3 marca 1731 r. August II wydaje przywilej, w którym po śmierci Urżulickiego wyznacza królem cygańskim Jakuba Trzcińskiego, a po jego śmierci — Franciszek Bogusławski zostaje królem cygańskim.

Radziwiłłowie na Litwie mieli największą liczbę Cyganów osiadłych i wyznaczali spośród nich królów cygańskich, mających władzę sądzenia i karania swych podwładnych. Po śmierci Stefanowicza „na tronie zasiadł" rezydujący w Mirze, mianowany przez St. Augusta królem — Jan Marcinkiewicz, po nim zaś jego syn.

W innych częściach Litwy nie trzymano się zasady Radziwiłłów wybierania królów cygańskich spośród Cyganów, lecz wybierano ich spośród miejscowej szlachty. Ci lokalni królowie nie cieszyli się uznaniem u swych podwładnych. Współczesny Marcinkiewiczowi Jakób Znamierowski został mianowany przez Stanisława Augusta królem cygańskim w 1780 roku. Po nim „zasiada na tronie" Miłośnicki, który odchodzi z hordą do Turcji.

Królowie cygańscy — Cyganie w ziemiach Radziwiłłów otaczali się wielkim przepychem. Marcinkiewicz ubierał się nieco groteskowo: w polski strój szlachecki, za pasem zamiast szabli nosił bizun, a w ręku — laskę z buzdyganem. Bogaty pas, pasowe spodnie, żółte buty i baranikowy kołpak na głowie. Poprzedzało go zazwyczaj dziesięciu cygańskich śpiewaków, oraz dobosz bijący w metalowe kociołki. Za nimi jechał sam Marcinkiewicz na pięknie ubranym koniu, za nim szły konie luźno, sprzężone po trzy i siedmiu Cyganów w różnobarwnych strojach, a na końcu — królowa w pąsowym rydwanie ciągnionym przez osiem koni. Królowa ubrana była w kosztowny strój przybrany złotem i perłami. Przy rydwanie z obu stron jechały konno młode, najpiękniejsze w całej okolicy Cyganki w aksamitnych, jedwabnych i muślinowych wielobarwnych sukniach, bez chust na ramionach i w krymskich czapeczkach na głowach. W ostatnich dniach niepodległości próbowano jeszcze zmusić Cyganów do życia osiadłego. W 1791 r. Komisja Policji daje Cyganom rok czasu na osiedlenie się. Po upływie roku mieli być ścigani prawnie. W południowych częściach Polski i na Litwie osiadło wtedy we wsiach około 150 rodzin cygańskich. Wypadki osiedlenia się stały się częstsze po raporcie kijowskiej komisji cywilno-wojskowej (1792), zapewniającym, że Cyganie po osiedleniu nie tracą wolności osobistej i nie będą traktowani jako poddani. Jakkolwiek ciężkie były warunki życia Cyganów w dawnej Polsce, to jednak nie było w naszym prawodawstwie ustawy czyniącej Cyganów niewolnikami. Pomimo prześladowań nie utracili swej osobistej niezależności, wolności, która w tak wielkiej jest u nich cenie.

W Polsce w latach 1918-39

Polska administracja w okresie dwudziestolecia niepodległości 1918 — 39 prowadziła w dalszym ciągu niesprawiedliwą politykę względem Cyganów, zaliczając ich w czambuł do wyrzutków społeczeństwa, nie starając się jak Z.S.R.R., Rumunia, Węgry, czy Czechosłowacja uczynić z nich cennych obywateli państwa, w którym żyją.

W XIX wieku Cyganie byli jeszcze często okrutnie traktowani. W Rumunii dopiero niespełna 80 lat temu zniesiono niewolnictwo Cyganów. Przepisy prawne w wielu państwach europejskich były na ogół dla Cyganów surowe. Żadne jednak ustawy i rozporządzenia nie były w stanie powstrzymać ich od wędrówek, od ich półkoczowniczego życia. W dwu dziesiątkach lat międzywojennych, wszystkie niemal państwa w Europie, oprócz Polski, pracowały nad podniesieniem kulturalnym Cyganów. Czechosłowacja zakłada na uniwersytecie praskim przy instytucie indianistycznym sekcję cygańską i tworzy szkolnictwo dla Cyganów na Rusi Podkarpackiej, osiągając dobre wyniki. Litwa, posiadająca tylko ok. 2000 Cyganów, tworzy dla nich osobną szkołę. Powstają szkoły dla Cyganów w Anglii, ZSRR i Rumunii i na Węgrzech. W Z.S.R.R. wychodziły nawet gazety cygańskie i czynne były teatry cygańskie, gdzie Cyganie grali cygańskie sztuki.

Michał II Kwiek

Jesienią 1930 r. Michał II Kwiek, król cygański rejestrował w Cieszynie Cyganów polskich z polecenia władz. Z rejestrów tych wynika, że Polska posiadała wówczas około 14000 Cyganów. W ostatnich latach przed wojną liczba Cyganów w Polsce zwiększyła się nieco wskutek bezustannego napływu grup cygańskich z Bałkanów.

Dzisiaj Cyganie to w większości już nie koczownicy w całym tego słowa znaczeniu. Przeważnie wędrują oni latem grupami pod przewodnictwem wójta, a na zimę powracają do swych mniej

CYGANÓW

lub więcej stałych siedzib. W różnych krajach zajmują się Cyganie rozmaitymi zawodami: są oni zaklinaczami wężów, muzykantami, tancerkami (Hiszpania). U nas są znachorami, koszykarzami, drwalami, a przede wszystkim kotlarzami. Kotlarstwo i pobielanie naczyń to ich główna specjalność. Michał Kwiek, jeden z przywódców cygańskich w Polsce, posiadał w Poznaniu fabrykę kotłów i naczyń miedzianych, w której robotnikami byli wyłącznie Cygagnie.

Na początku XX wieku obudziło się wśród kulturalniejszych warstw cygańskich poczucie narodowe. W 1906 roku odbył się w Sofii pierwszy zjazd wszechcygański, po którym zjazdy tego rodzaju odbywały się co kilka lat. To w Monachium, to w Bukareszcie, w Moskwie i w Budapeszcie w 1936 r. Na tych kongresach powzięto uchwały mające na celu wprowadzenie ściślejszej łączności wśród Cyganów i żądające oddania im obszaru, na którym mogliby osiedlić się na stałe. Były to jednak żądania tylko nielicznych jednostek. Szerokie rzesze ludu cygańskiego pozostały nieuświadomione co do tych żądań i bynajmniej nie zdradzały ochoty przeprowadzenia tego rodzaju zmian.

Król Mateusz

Rok 1930 był ostatnim rokiem panowania króla Michała II Kwieka: w tym roku królem Cyganów całej Europy został Mateusz Kwiek, a po jego śmierci w 1937 roku „wstąpił na tron" jego następca także z dynastii Kwieków. Król Mateusz Kwiek zajmował się projektami osadzenia Cyganów na jakiejś ziemi, która stałaby się ich ojczyzną. W 1935 roku Liga Narodów przeznaczyła nagrodę pieniężną za najlepszy projekt rozwiązania kwestii cygańskiej.

Rok 1939 — początek wojny był początkiem długiego okresu cierpień Europy, wywołanych największym w dziejach rozpętaniem się ludzkiego bestialstwa. Szereg narodów skazanych przez Niemców na zagładę ginie w obozach. Widmo całkowitej zagłady zawisło przede wszystkim nad Żydami. Vernichtung i Ausrottung — zniszczenie i wytępienie całkowite — modne hitlerowskie hasła stały się rzeczywistością. Cyganie to „czysto aryjskie" plemię niewygodne było dla okupanta. Niemcy zdawali sobie sprawę, że jest to lud, który ze swymi wrodzonymi cechami charakteru nie da się wprzęgnąć w charakterze knechtów w rydwan wojeny Niemiec. Może też niepokoiły Niemców: cygański kosmopolityzm, koczowniczo i rzekoma skłonność do szpiegostwa. Były także wypadki ukrywania się Żydów w przebraniu wśród Cyganów.

Jednostki S.D., podlegające Von dem Bachowi, miały za zadanie niszczenie Żydów, komisarzy politycznych i Cyganów. Już więc 13 września 1940 r. wydane zostało pierwsze rozporządzenie dotyczące „ograniczenia pobytu" Cyganów w „G.G." — a potem 29 kwietnia 1941 r. — drugie podobne rozporządzenie. Wreszcie dnia 28 maja 1942 r. wydano trzecie rozporządzenie o brzmieniu następującym:

„Zarządzam niniejszym: 1) Cyganów znajdujących się na terenie powiatu warszawskiego, poza obrębem dzielnic żydowskich, należy umieścić w najbliższej dzielnicy żydowskiej. Pobyt ich w tej dzielnicy ma być ograniczony (sic!) na stałe. Zastrzega się przydzielanie zdolnych do pracy cyganów do obozu pracy. 2) Przy umieszczaniu Cyganów w dzielnicy żydowskiej może być wymagane zarządzenie oddania bez odszkodowania posiadanego przez nich sprzętu domowego, pojazdów, koni i innego mienia. 3) Cyganie, którzy po umieszczeniu ich w dzielnicy żydowskiej opuszczą ten teren bez uprzedzenia, zostaną ukarani więzieniem i grzywną do 10.000 zł — lub jedną z tych kar — w cięższych wypadkach karą ciężkiego więzienia. 4) Zarządzenie to wchodzi w życie z dniem 1 czerwca 1942 r.

„Utylitaryzm" niemiecki usuwał w ten sposób wszystkie przeszkody, lub tylko zawady zbyteczne dla zwycięstwa hitleryzmu. W tępieniu bezwzględnym narodu żydowskiego pretekstem było radykalne „usuwanie żydowskiej zarazy", której zamiary mające na celu panowanie nad światem „zdemaskowano", oraz nienawiść rasowa. Z Cyganami było trochę inaczej. Zgodnie z zasadami swego zoonacjonalizmu Niemcy zwalczają Cyganów tam, gdzie są im zbyteczni, ale wyjątkowo tam, gdzie są im potrzebni — faworyzują ich nawet.

Zarządzenie z dnia 28 maja 1942 roku z niewiadomych dotąd przyczyn nie weszło w życie. Miały miejsce wprawdzie sporadyczne wypadki przeniesienia się Cyganów do getta warszawskiego, ale ogół, większość, pozostała chwilowo na wolności.

Goebbels wydał w Berlinie dn. 14 września 1942 r. rozkaz, w którym nakazuje całkowitą eksterminację Żydów, Cyganów, oraz Polaków, skazanych na karę ciężkich robót powyżej trzech lat, a także Czechów i Niemców, skazanych na dożywotnie więzienie. Goebbels zaleca uśmiercać ich wszystkich przez „pracę aż do zupełnego wyczerpania fizycznego", Komendant Oświęcimia i Birkenau otrzymał w 1942 roku rozkaz podpisany przez Himmlera, w którym ten nakazuje wymordować wszystkich Cyganów „jako socjalny element, który i tak żadnego pożytku niemieckiemu gospodarstwu nie przyniesie". (Z zeznania R. Hoessa komendanta Oświęcimia i Birkenau).

Jesienią i zimą 1942 roku miały miejsce gdzie niegdzie sporadyczne egzekucje. Rozstrzeliwano Cyganów czasem pod jakimś pretekstem, za rzekome przewinienia, a przeważnie bez żadnych przyczyn, czy pretekstów np. w Radomskim zimą 1942 r. Systematyczne mordowanie Cyganów rozpoczęło się dopiero wiosną 1943 roku. Wtedy to na Wołyniu na niemiecki rozkaz Ukraińcy, członkowie nacjonalistycznej, organizacji ukraińskiej U.P.A. wymordowali około 4000 Cyganów wołyńskich. Od tego pierwszego masowego mordu rozpoczęło się systematyczniejsze, choć też nie obejmujące wszystkich Cyganów polskich, zniszczenie ich w obozie w Oświęcimiu.

Nie przeszkadzało to Niemcom wiosną 1943 r. sprowadzić do gospodarstw pozostałych po wysiedlonych z Lubelszczyzny Polakach, prócz kolonistów niemieckich także pewną ilość Cyganów rumuńskich.

W lipcu 1943 r. rozpoczęto zgładzanie Cyganów w obozie oświęcimskim, gdzie zgromadzono ich około 12 tysięcy. Byli to Cyganie z różnych krajów, nie tylko z Polski, „Biuletyn Informacyjny" z dn 7 października 1943 r. Nr 40 (125) donosi: „Prócz Żydów masowo niszczą Niemcy Cyganów w obozie (Oświęcim), których jest 10 do 12 tys., a których początkowo używano do ciężkich robót. W obozie cygańskim dur plamisty pochłonął liczne ofiary. Wszelkie zabiegi i przepisy sanitarne nie dotyczą, oczywiście, ani Żydów, ani Cyganów którzy też muszą ginąć od najbłahszych zakażeń, zatruć itd.".

Akcja tępienia Cyganów nie była jednolita. Jeszcze w 1942 roku do obozu śmierci w Chełmnie na Pomorzu przywieziono transport Cyganów z Łodzi i uśmiercano ich tam w komorze gazowej. Jak podają w Chełmnie zginęło ogółem 15 tysięcy Cyganów z różnych krajów. W Dachau zabijano Węgrów i Cyganów strzałem w tył głowy, by nie niszczyć skóry, z której robiono potem siodła, teczki itp.

Jako dowód pewnej niejednolitości i niekonsekwencji w tępieniu Cyganów można podać kilka charakterystycznych przykładów.

W tym samym czasie, kiedy w obozach koncentracyjnych ginęły ich tysiące, w wielu okolicach kraju, a nawet w takich wielkich miastach jak Warszawa było bardzo wielu Cyganów i Cyganek, chodzących swobodnie po ulicach, sprzedających garnki własnego wyrobu, handlujących i wróżących z kart. Część Cyganów zginęła w komorach gazowych, a część cieszyła się swobodą jaką taką i nie zdawała sobie sprawy z tragicznego losu, który spotkał większą część współbraci, a i ich w każdej chwili spotkać mógł.

Obecnie niewielu Cyganów w Polsce pozostało, — mniej więcej cztery do pięciu tysięcy. Ostatni Kwiek przeżył obóz koncentracyjny w Mauthausen i jesienią 1946 r., już nie jako król, ale „prezydent narodu cygańskiego", przeprowadzał spis ludności cygańskiej zamieszkałej w Polsce. Udzielił też wywiadu dziennikarzowi „Ilustrowanego Kuriera Polskiego", w którym „nacyganił" ile wlezie.



Fot. Film Polski

Ostatni proces króla Cyganów—Kwieka — przypomniał nam, o tym ciekawym i tajemniczym ludzie. Oto J. K. M., Kwiek, odpiera przed sądem zarzuty, stawiane mu przez antagonistów.

Według króla Kwieka przed wojną było w Polsce nie 16 tysięcy Cyganów, lecz... 284 tys. Cały ten wywiad jest po prostu nabijaniem w butelkę łatwowiernego dziennikarza.

Sprawa wymordowania Cyganów nie może być nieznana, lub przemilczana. Powinna być poruszona przed trybunałem sądzącym niemieckich zbrodniarzy wojennych. Muszą i za to ponieść zasłużoną karę.

Jerzy Ficowski

PALESTYNA PRACUJE

(Dokończenie ze str. 5)

rych trzeba kapitału, organizacji, zdolności administracyjnych i dużej wiedzy technicznej, Tnuvah nie podejmuje sama, ale powierza je organizacjom oddzielnym. W ten sposób staje się jednym z najważniejszych czynników gospodarczego życia Palestyny.

W roku 1943 Tnuvah zatrudniała 800 pracowników, oprócz tego 1.000 sezonowych pakowaczy pomarańcz. Tnuvah zajmuje się także transportem rolniczym, zwłaszcza ożywiona działalność jej na tym polu odnosiła się do ostatnich lat przed wybuchem wojny. Z początku ograniczyła się do owoców cytrusowych, potem przeszła do eksportu miodu, warzyw, kartofli itp. Ponieważ rośliny cytrusowe dają owoce zdolne do eksportu dopiero po 6 latach, więc eksport owoców cytrusowych, główny przemysł Palestyny, byłby wzrósł znacznie silniej gdyby nie wbuch wojny, brak okrętów itp. Mimo to liczba skrzyń z pomarańczami, grapefruitami, cytrynami i bananami, eksportowanych przez Tnuvah, wynosiła w przybliżeniu:

w r. 1936/7	400.000 skrzyń
w r. 1939/40	680.000 skrzyń

Organizacja skupu

Centralną organizacją skupu dla Histadruthu jest Hamashbir Hamerkazi. Głównymi klientami są: osiedla rolnicze, spółdzielnie wiejskie i podmiejskie, szkoły itp. Towary zakupywane obejmują środki żywności takie jak: cukier, kawa, herbata, margaryna, oliwa itp., następnie nasiona, pokarm dla bydła itp., poza tym cały szereg artykułów, jak ule, maszyny rolnicze, elektromotory, żelazo dla celów budowlanych itp. Kapitał obrotowy tego przedsiębiorstwa stale wzrasta, jak to wynika z poniższej tabeli (cyfry zaokrąglone):

Rok	Obrót w funtach	kapitał obrotowy	czysty zysk w % obr.
1931	64.000	5.700	5
1939	543.000	83.000	1,7
1942	1.310.000	225.000	1,7

Widocznie zaspokojało ono z powodzeniem wzrastające potrzeby klientów, a powiększająca się siła kupna klasy pracującej, przyczyniała się do rozrostu Hamashbir. Akcje tego przedsiębiorstwa są w ręku spółdzielni, osiedli, jako też poszczególnych pracowników. Właściciele akcji nie otrzymują na razie żadnej dywidendy, zysk odkłada się do rezerw, nie uważa się bowiem, że celem spółdzielni jest wypłacanie wysokich zysków swym członkom. Koszta administracji — jak wynika z tabeli, są możliwie niskie.

W miarę wzrostu przedsiębiorstwa, zaczyna ono zwracać uwagę na tworzenie własnych zakładów przemysłowych. Nie idąc jednak śladem innych spółdzielni, które tworzą własne piekarnie, tkalnie itd., Hamashbir zleca swym członkom, a szczególnie osiedlom akcję w tym kierunku.

Jak wspomnieliśmy, Hamashbir dostarcza towar kupcom hurtowym tj. osiedlom, instytucjom społecznym, szpitalom itd. Jeżeli członek Histadruthu chce kupować indywidualnie, musi zwrócić się do spółdzielni pośredniczących (Agudoth Zorhanioth), których liczba stale wzrasta: W roku 1931 było ich 11, w roku 1942 było 92. Powstają one nie tylko przy kibucach, ale i w miastach. W tych ostatnich jednak spółdzielnie nie mogą konkurować z drobnym kupcem, który pracuje przez wielką liczbę godzin w dniu, pociąga do pracy członków swej rodziny, często korzysta z tańszej produkcji arabskiej, a nadto udziela konsumentom kredytu i dlatego sprzedaje na ogół taniej, aniżeli spółdzielnia.

ANDRZEJ JENICZ

WITOLD STEFAN WROBLEWSKI

JULIO WAWRZENITO

Wspomnienie

Zapomniałbym o Tobie już dawno, Julio, zapomniałbym pewnie do cna, gdyby nie ta pamiątka, dar pożegnania i wdzięczności, którą raz po raz córeczka moja z przepaści swej szuflady wywleka, ilekroć zaczyna się bawić w malowanki.

Zostały dziś z tej książki tylko okładki, twarde, barwne i egzotyczne, które dla dziecka przedstawiają jedynie wartość sztywnej teczki, bo tekst w osobliwym garmondzie, obcy dla Beaty i wobec braku ilustracyj nieinteresujący, dawno już zniknął z powierzchni ziemi, wystrzygany cierpliwymi rączynami w tasiemcowe serie laleczek i piesków. Zachowały się wprawdzie wśród jej „malowanek" wycięte z tekstu podobizny Rivadavii, Irigoyena, San Martina, czy nawet Rosasa, ale mała kolekcjonerka do dziś nie rozumie fantazyjnego napisu, widniejącego na okładce: „Historia de la Republica Argentina" i dostojne oblicza prezydentów tego państwa uważa zapewne za fotografie moich znajomych czy krewnych.

Dzięki Tobie, Julio, dzięki tej książeczce, spadło na mnie przed dwudziestu zgórą laty jak objawienie — uprzytomnienie sobie faktu, że są na świecie państwa i narody, których historia zaczęła się dopiero za życia Napoleona. Dzięki Tobie także, dzięki krótkotrwałemu istnieniu Twemu w moim życiu, przyszło na mnie również i zrozumienie krzywdy dziecka, nie posiadającego ojczyzny, zgłębienie przekleństwa losu, pchającego moich współplemieńców na tułaczkę po obcych krajach.

Byłem podówczas obiecującym zapewne młodzieńcem (prymusem siódmej gimnazjalnej, dobrze ułożonym i budzącym zaufanie grona profesorskiego), skoro do mnie właśnie przyprowadzono w pierwszych dniach września małego Julio Wawrzkiewicza, repatrianta z Argentyny. Oddano mi go pod opiekę i stały nadzór, gdyż biedak był zastraszony obcością polskiego środowiska i po polsku właściwie już mówić nie umiał. Po kilku wzniosłych zdaniach, składających na moje barki odpowiedzialność za szybką repolonizację spłoszonej duszyczki i podkreślających ważność mojej misji dla całości narodu, wychowawca klasy III-b oddalił się dostojnym krokiem i Julio podniósł na mnie swoje szare oczy, oczy dziecka, nieufne i pytające.

Pod lnianą, mazurską czupryną błyszczały te oczy wilgocią tęsknoty za zrozumieniem, za sercem współczującym i oddanym. Był raczej niewyrośnięty. Ubranko kuse, obcego kroju, buciki śmieszne, zapinane na guziczki, jakich u nas od wczesnego mego dzieciństwa już nie wyrabiano.

— Ile masz lat, Julio?

— „Cznaście". Dźwięk „trz" wymawiał z hiszpańska, jak miękkie „cz".

— Gdzie się urodziłeś?

— Tu. W Polsce.

— Rodzice żyją oboje?

— Nie. Mama nie żije dawno. Umarła jak miałem dwa lata.

— A kiedy wyjechałeś do Argentyny?

— Nie pamiętam. Pśedtem jak mama umarła.

— Czym jest twój tatuś?

— Tokaź. Od zielazo.

— Gdzie mieszkaliście tam, w Argentynie?

— W Buenoś Aireś. Końcowe „s" wymawiał znów miękko, dziecinnie, niemal jak nasze „ś".

— Chodziłeś tam do szkoły?

— Si. Tak.

— Do polskiej?

— Nie.

— Dobrze, już wiem dużo o tobie. Czy rozumiesz, że jestem twoim opiekunem? Że tu, w szkole, masz się zawsze do mnie zwracać o pomoc we wszystkich trudnościach?

— Tak. Wśród trzepotu długich rzęs szare oczy opadły w dół.

Podałem mu rękę i uczułem ciepły, mocny uścisk drobnej dłoni chłopca. Poszedł do swojej klasy.

I tak zaczęło się moje przybrane ojcostwo. Rozumiałem, że warunkiem koniecznym do wytworzenia sobie poglądu na metodę najodpowiedniejszego oddziaływania na chłopca jest poznanie jego warunków domowych. Chciałem przedstawić się ojcu. Po lekcjach Julio zaprowadził mnie do swego domu. W czasie marszu przez ulice miasta żenowałem się nieco towarzystwem mego podopiecznego, gdyż egzotyczny strój Julia, składający się z impregnowanej jedwabnej pelerynki niespotykanego u nas kroju i argentyńskiego szkolnego kepi o jaskrawych barwach, budził powszechne zainteresowanie, szczególnie wśród młodzieży obojga płci z młodszych klas gimnazjalnych. Pokazywano go sobie palcami.

W brudnej uliczce robotniczego przedmieścia, przyczajonego jak pleśń w cieniu ogromnych, ponurych konturów huty żelaznej, w oficynie obrosłej pyłem węglowym kamienicy mieszkał majster kowalski, Jan Wawrzkiewicz. Był już w domu i gotował obiad dla siebie i syna. Przywitał mnie opryskliwie, niechętnie i nie przerywając swego krzątania przy kuchni, zerkał na mnie spod oka podejrzliwie. Trudno mi było rozmawiać z człowiekiem patrzącym nieufnie spod krzaczastych brwi i ciskającym przez ramię synowi krótkie, szorstkie rozkazy. Julio wyraźnie bał się ojca.

— Si, padre. Si, si.

Objałem się rumieńcem. Pan Wawrzkiewicz w rozmowie z synem posługiwał się językiem hiszpańskim, którego nie rozumiałem. Spostrzegł mój rumieniec i powrócił do swej twardej, urywanej polszczyzny. On też wiele zapomniał.

Wyjaśnił. Od chwili wyjazdu z Polski przed dwunastu laty nie miał żadnego polskiego sąsiedztwa. Żona umarła mu wkrótce po wyjeździe. Nie było z kim po polsku rozmawiać. Julio bawił się stale z hiszpańskimi dziećmi i szybciej poznawał nowy język niż ojciec. On starał się zawsze rozmawiać z Juliem tylko po polsku, lecz cóż, kiedy odcięty od rodaków, zapomniał sam.

— Kto się opiekował Juliem, kiedy był mały?

Odwrócił twarz.

— Musiałem przecież wziąć gospodynię. Polek nie było.

Zrozumiałem. Czułem się mocno zażenowany.

Julio tymczasem nakrył do stołu. Pożegnałem się i wyszedłem. Następnego dnia po lekcjach miałem go zabrać do swego domu.

Julio rychło przywiązał się do mnie. Przychodził do mnie stale w czasie przerw między lekcjami, budząc z początku zainteresowanie całej klasy, a później powoli stając się powszednią, lubianą rozrywką rówieśnych mnie wesołków. Nabierali go stale na różne kawały, wykorzystując jego niedostateczną znajomość języka polskiego. Pilnowałem jednak stale, by nie dopuszczano się do złośliwości. Pomimo tego widziałem wyraźnie, że choć ogłędnie aplikowane, lecz nieustanne żarty kolegów budzą w małym chłopcu kompleks niższości. Przemówiłem któregoś dnia do sumienia mych rówieśników i zaczepki z ich strony ustały. Na klasę jednak Julia nie miałem wpływu, a jego młodzi koledzy potrafili być nieraz okrutni. Uciekłem się do interwencji ich wychowawcy klasowego, co na pewien okres czasu zahamowało zapędy złośliwców, nie rozwiązując jednak całkowicie zagadnienia.

Popularny w mej klasie Julio otrzymał tu rychło przydomek „Wawrzenito", ukuty na żywo od tytułu rozchwytywanej potajemnie w klasie książki Erenburga, która była na indeksie naszego polonisty. Powitał to nowe miano z uśmiechem i szybko się doń przyzwyczaił. Usposobienie miał nawskroś pogodne.

Przywiązanie jego do mnie wyraźnie wzrosło od kiedy się zorientował, że ja go rozumiem najlepiej. Niewiedzieć bowiem jak i kiedy, w rozmowach z nim nachwytałem wiele słów hiszpańskich, zgłębiłem fonetyczne tajemnice dialektu argentyńskiego i tolerowałem jego wyskoki w stronę hiszpańszczyzny w trudnych dlań momentach wyjęzyczania się po polsku. Język hiszpański zresztą zaczął się udzielać zaraźliwie otoczeniu Julia. I w siódmej i w trzeciej klasie coraz częściej słyszało się epitety hiszpańskie, stające się modnymi zwrotami sztubackiego żargonu. Nagminnie słyszało się wówczas takie kontrowersje:

— Franek, tu estas chancha!

— Pichulino!

— Ve te! i zamykający dyskusję okrzyk interwenienta: — Kadziate laboka! (Callate la boca!).

Julio nie znał matki i silnie odczuwał jej brak. Zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby żyła, to on mówiłby lepiej po polsku. Brany dyskretnie na spytki dawał folgę swym stłumionym uczuciom. Rozumiał dobrze swą krzywdę sierocą i na dnie serca żywił żal do ojca. Pierwsza „kobieta" (nigdy nie nazywał jej macochą, ani „żoną ojca" lecz po prostu „mujer"), która po śmierci matki prowadziła ojcu dom, była z początku dobra dla Julia. Całowała go, pieściła i śpiewała mu do snu kołysanki. Jak wszyscy upośledzeni na słuchu Julio lubił śpiewać. W fałszywie nuconej kołysance rozpoznałem ze zdumieniem pamiętną z mego dzieciństwa piosenkę, którą ciotka Francuzka często nuciła swemu maleństwu. Ta sama! Ta sama piosenka o nieszczęśliwym wodzu Marlborough, pospolita francuska „berseuse", lecz jakżeż przekręcona! Marlborough stał się w ustach Julia dźwięcznym Mambrusem, a choć zwrotki pierwsze pokrywały się niemal całkowicie z tekstem francuskim, to zakończenie uległo ciekawej przemianie:

„...su cadavar lo llevan
quatro oficiales
e un cura sacristan.
Uncima de su tumba
un pajarito canto: — El pio, pio, pa!
Chirvin-chin-chin-chin-chin!"

Kiedy Julio miał już sześć lat i zaczął chodzić do szkoły, pierwsza „mujer" odeszła w sposób nagły. Widocznie gorący temperament, odziedziczony po kastylijskich, a być może i indiańskich przodkach, poniósł ją na manowce ubocznego romansu, czemu sprzyjać musiała wielogodzinna samotność w domu podczas nieobecności Julia i jego ojca. Rozstanie było gwałtowne i spowodowało poważną zmianę w usposobieniu starszego Wawrzkiewicza. Julio w swej łamanej polszczyźnie ujął to tak:

— Raz padre psisiedł wcieśnie do dom i tam był obcy pan. Tata go zbił, a ta kobieta dał jeden mocny kop. Potem on był cągle zły i pił dużio aguardiente. Nie chciał brać druga mujer".

Nie można jednak było długo obejść się bez gospodyni domu. Julio wymagał opieki, bielizna, prania i napraw, a ojciec towarzyszki. Był wszak zdrowym, silnym i młodym jeszcze mężczyzną. Przyszła druga, również Hiszpanka. Wytrzymała aż cztery lata, ale w końcu okradła ojca Julia i zbiegła w niewiadomym kierunku. Wówczas to ojciec przypadkowo dowiedział się, że ojczyzna jego jest niepodległa i że potrzebuje rąk do pracy. Informacja zdobyta w przelotnym spotkaniu z rodakiem na ulicy, wystarczyła do powzięcia doniosłej decyzji. Wawrzkiewiczowi dokuczyło poniewieranie nim na obczyźnie z tej tylko racji, że słowo „polaca" było tam synonimem prostytutki. Spieniężył meble, drobne oszczędności zaszył w woreczku noszonym pod koszulą i powrócił z synkiem do kraju, za którym tęsknota żarła go już od chwili śmierci matki Julia.

Julia jednak z Polską nic nie wiązało. Częstokroć przyłapywałem go na roztkliwianiu się we wspominkach z Buenos Aires, gdzie było lepiej. Mieszkanie mieli tam ładniejsze, tatuś dużo zarabiał, jedzenie w domu było lepsze i samo miasto było piękniejsze. Tam mógł się swobodnie porozumieć z ludźmi i nikt się nie wyśmiewał z tego co on mówił. A tu? Kiedyś, oglądając wraz z całą szkołą defiladę oddziałów wojska, wyrażał swą radość okrzykami: „Kabaljerja! Artiljerja!", które nie wywoływały w otoczeniu specjalnych komentarzy. Kiedy jednak na widok kolumny piechoty zawołał donośnie: „A teraś idzie bojśko na nodze!" *) — wokół jego osoby powstał harmider i zgiełk uciechy, zakończony gradem szyderstw i szturchańców. Była to dla Julia chwila największego wstydu i upokorzenia. Śmieli się nie tylko koledzy, śmieli się także i obcy ludzie stojący w pobliżu, a nade wszystko — śmiały się kobiety i dziewczęta, które dla Julia były istotami wyższego rzędu.

W nauce języka polskiego, tak bowiem trzeba nazwać wysiłki Julia nad „przypomnieniem sobie" ojczystej mowy, robił nieznaczne postępy. Nie mógł sobie przyswoić polskiej składni i myślał nadal po hiszpańsku. Już wcześniej od ojca mego wiedziałem, że najłatwiejszym sposobem wyróżnienia języka macierzystego u wielojęzycznych jest podsłuchanie, w jakim języku dokonują oni pamięciowego mnożenia. Julio po półrocznych zabiegach moich na zapytanie „ile jest osiem razy osiem?" odpowiadał odruchowo „sesenta quatro" i dopiero po chwili namysłu poprawiał się na „sieśdziesiont ćtery". Modlił się tylko po hiszpańsku i to nader gorliwie.

Starszemu panu Wawrzkiewiczowi od końca zimy powodziło się najwyraźniej źle. Widząc wkradającą się do mieszkania nędzę, starałem się bywać u nich jak najrzadziej. W toku redukcji personelu huty zwolniono pana Wawrzkiewicza z pracy. Nie zdążył sobie wyrobić stosunków — nikt go bliżej nie znał. Ponieważ żył jak odludek, z synem tylko, nie udzielając się nawet sąsiadom z kamienicy, krążyły wokół jego osoby różne krzywdzące plotki. A że był oburkliwy i ostro odcinał się przełożonym, przyłożono mu etykietkę „wywrotowca" i komunisty, którym nawet zdaje się nie był. A przecież olbrzymimi krokami nadchodził już wielki światowy kryzys gospodarczy.

Nadeszły ciężkie dni dla Julia i jego ojca. Wykwalifikowany „tokaź od zielazo" z trudem tylko dostawał dorywcze zatrudnienie — to w warsztatach samochodowych, to znów na kolei. Redukcja dosięgała go raz po raz.

Któregoś z pierwszych dni czerwca Julio przyszedł do mnie przed lekcjami z wyraźnie rozpromienionym obliczem. Co się stało?

— Wracamy do Argentyny.

Nie chciałem wierzyć. Ojciec się zawziął. Zawiódł się na kraju ojczystym. Nie ma tu możności zdobycia minimum egzystencji. I ludzie niedobrzy. Oszukują, wyzyskują przy kupnie, orientując się po akcencie, że mają do czynienia z reemigrantem. Obmawiają, plotkują. Nawet dzieci dokuczają Juliowi, że źle mówi po polsku. Hiszpanie lepsi. W Argentynie poszukują wykwalifikowanych robotników i dobrze płacą. A u przewidującego starego tokarza w woreczku na piersi ocalało jeszcze kilka złotych monet, oszczędzanych „na czarną godzinę". Na powrót wystarczy. A tam, w Buenos Aires, znowu będzie dobrze.

Zostawił mi na pamiątkę „Historię Argentyny". Własnoręcznie wypisał dedykację. Po polsku: „Mojemu polskiemu pszyjacielowi — Julio W.".

Po dwóch tygodniach odprowadzałem Wawrzkiewiczów na dworzec. Skromna chudoba mieściła się w dwóch zaledwie walizkach i niedużym tłomoku z pościelą. Na peronie uścisnęliśmy sobie serdecznie ręce. Z ojcem, a potem z Juliem. Gorąco. Chłopiec miał oczy pełne łez.

Gdy pociąg ruszał, powiewałem im ręką. Julio wychylił się z okna wagonu i z całej piersi zakrzyknął ostatnie pożegnanie:

— Hasta la vista!

Jak on to mi tłumaczył znaczenie tych słów? Aha! Hasta — to aż, aż do. la vista — „to ti idzie, idzie długo, aś juś nie widać". Tak! miał rację — Włosi czy Francuzi inaczej wyrażają sens pożegnania — przez życzenie „ponownego zobaczenia", a Hiszpanie żegnają inaczej: „aż do zniknięcia mi z oczu".

Ze ściśniętym gardłem odkrzyknąłem mu: — „Hasta..." Dalszy ciąg uwiązł mi w krtani.

Hasta... jakież to inne myśli nasuwa to słowo... tak... tak! to okrzyk bojowy José Palafoxa: „Hasta la ultima tapia!" **).

Czemuż, o Julio, nie mogłem Ciebie tym okrzykiem pożegnać? Albo zatrzymać?

*) po hiszpańsku — ejercito a pie.

**) Po hiszpańsku — aż do ostatniej zagrody!

MIASTO PIELGRZYMEK OŚRODKIEM TARGÓW

Korzystając z tego, że w dniu 15 sierpnia br. przypadało święto, wyrwałem się z redakcji na trzydniowy urlop do Częstochowy, celem odwiedzenia przyjaciół. Okazało się, że dobrze trafiłem, gdyż właśnie w Częstochowie otwarta została Wystawa Gospodarcza, Jarmark Częstochowski i Wystawa Sztuki Religijnej.

Nazajutrz, wyszedłem z przyjacielem na miasto, by zobaczyć, jak też wygląda Częstochowa w dniu odpustu. A pogoda była przepiękna. Przechodząc Aleją Najświętszej Marii Panny, blisko już parku, zwróciłem uwagę na szereg pawilonów, rozrzuconych po obszernym placu, na maszty udekorowane flagami narodowymi u wejścia na plac, na tłumy ludzi cisnące się w kierunku pawilonu. Przyjaciel mój ,widząc moje zainteresowanie, pośpieszył z informacją:

— A oto tereny Wystawy Gospodarczej. Może pójdziemy zobaczyć?

Przyznam, że byłem zdziwiony, że tu w Częstochowie można było tyle rzeczy ciekawych zobaczyć. Kogoś, kto widział już Targi Poznańskie, czy Gdańskie mniej zaciekawią wystawione eksponaty, chociaż nie brak tu nowych wystawców, których nie spotykało się w Poznaniu, Gdańsku czy Gdyni.

W ogromnej większości ludzie ci po raz pierwszy zapoznawali się z naszym dorobkiem gospodarczym, oglądając pawilony „Społem", Związku Hodowców, Wytwórców i Kupców Nasiennych Działu Lecznictwa, Centrali Zbytu Przemysłu Skórzanego, Chemicznego, Porcelany, Fajansu, przemysłu maszynowego, mineralnego, spożywczego, pawilon leśny, pawilon Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych i inne. Ludność wiejska interesowała się bardzo materiałami tekstylnymi, wystawionymi przez Centralę Handlu Detalicznego prowadzoną przez Polski Związek byłych Więźniów Obozów Koncentracyjnych. Materiały ubraniowe są tu sprzedawane w cenie od 700.— zł do 6.000.— zł. za metr, kołdry watowane po 2.000.— zł., kretony po 150.— zł. za metr, inne artykuły proporcjonalnie do tych cen; zwracają tu uwagę pasy transmisyjne z wypróbowanego materiału zastępczego — specjalnej masy na szkielecie z cienkiego drutu, przy czym 30 km tych pasów zostało zamówionych przez nasze kopalnie.

Szczególną uwagę dzieci przyciągają liczne stoiska z zabawkami, a elegantek miejskich i wiejskich stoisko Państwowego Instytutu Jedwabniczego z pięknymi wzorzystymi tkaninami. Kobiety długo nie chcą odejść od tych cudnych materii. Na szczęście uprzejmy pan, który pilnuje tych „cudów", grzecznie informuje, że nabyć je można w sklepie P.I.J. w Warszawie. Sprawiało to mężczyznom przynajmniej chwilową ulgę.

Od nas samych zależy ażebyśmy tych pięknych własnych jedwabi mieli pod dostatkiem. Produkcja jedwabiu uzależniona jest bowiem od hodowli krzewów morwowych, których liśćmi żywią się gąsiennice motyli — jedwabników Drzewka można eksploatować, gdy mają osiem do dziewięciu lat, krzewy — pięć lat. Do wyhodowania jedwabników z jednego grama jajeczek potrzeba 25 kg liści morwowych. Hoduje się jedwabniki od końca maja do końca czerwca, przy czym hodowla jest bardzo łatwa, gdyż polega na dostarczaniu gąsienicom pięć razy dziennie świeżej porcji liści morwowych. Po 32 — 35 dniach gąsienice zawijają się w oprzędy. Za garniec oprzędów przesłanych do P.I.J. w Milanówku hodowca otrzymuje metr tkaniny jedwabnej oraz 315 zł premii. Hodowla jedwabników z 25 gramów jajeczek, kosztujących 250 zł daje rocznie 70 metrów tkanin i 20.000 zł premii rocznie.

Ciekawie przedstawia się też pawilon Państwowego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego. Widzimy tu wystawione płaskie i plastyczne mapy, przedstawiające wieś przed i po scaleniu gruntów. Ilu to gospodarzy w Polsce miało grunta porozrzucane w różnych miejscach. Ile trudu kosztowała każdego gospodarza uprawa, obsianie i zbiór z tych pól. A ileż to było powodów do sworów z sąsiadami o miedzę. Dziś scalenie tych gruntów ułatwia gospodarzom ich uprawianie.

Bardzo ciekawe są wykresy obrazujące rozdział gruntów reformy rolnej na przykładzie województwa krakowskiego. PINGW propaguje wśród rolników prowadzenie rachunkowości gospodarczej, celem dokładnego orientowania się w ich obrotach poszczególnymi artykułami. Wieśniaków, a zwłaszcza młodzież wiejską interesuje proces powstawania gleby.

Wiele śmiechu wywołał zawiany nieco jegomość w pawilonie Centrali Rybnej który domagał się gorącego dania. Z trudem zdołano mu wytłumaczyć, że to, co brał za kuchnię barową jest tylko chłodnią elektryczną, przechowującą ryby w temperaturze do — 25 stopni C.

Ogólnie biorąc wystawa gospodarcza może spełnić znakomicie swe zadanie propagandowe i gospodarcze, gdyż w okresie od 1 lipca do połowy września przewija się przez Częstochowę około dwóch milionów ludzi z różnych stron kraju. Jest to więc wymarzone miejsce dla tego rodzaju wystaw. Należy je jednak urządzać znacznie wcześniej i obszerniej. W ubiegłym roku otwarta została 7 września, a więc u schyłku okresu pielgrzymkowego i nie spełniła swego zadania. W tym roku urządzono ją o miesiąc wcześniej, ale jeszcze o miesiąc za późno. Przy tym podkreślić należy brak odpowiedniej propagandy i współdziałania kierownictwa wystawy z prasą, radiem i z kierownikami pielgrzymek.

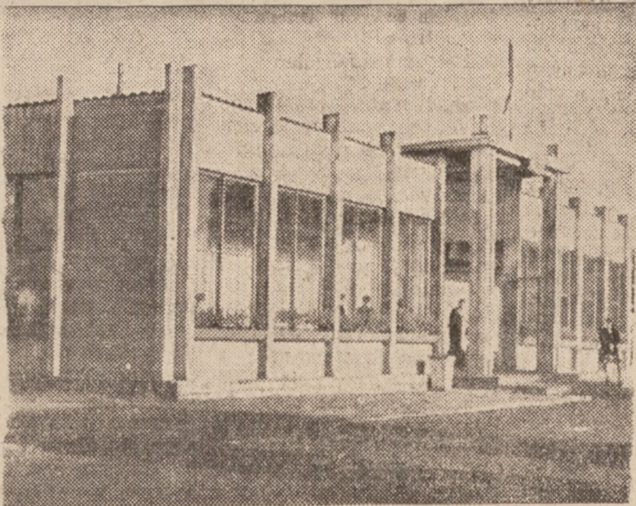
Dodatek do wystawy gospodarczej stanowi wystawa sztuki religijnej. Zgromadzono tu wiele obrazów: Matejki, Malczewskiego, Wyczółkowskiego, Gersona, Bacciarellego, Suchodolskiego, Pillatiego, Aksentowicza, Chełmońskiego, Kotarbińskiego i innych; witraże: Wyspiańskiego, Mehoffera i Siwulskiego; rzeźby: Marczewskiego, Pruszyńskiego, Szczepkowskiego i Kuny.

Częstochowa więc będzie odtąd przyciągać swym czarem i urokiem zarówno tych, którzy widzą w niej miejsce kultu religijnego, jak i tych, którzy w murach Jasnej Góry szukają śladów historii i tych, którzy przyjeżdżać będą, aby się zapoznać na Wystawie z naszym dorobkiem kulturalnym i gospodarczym.

Marian Bogacz.



Pawilon Centrali Gospodarczej Spółdzielni Pracy Wytwórczej


Pawilon Państw. Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych

KRONIKA KULTURALNA

DEMIURG? Co znaczy to słowo? Może nie każdy wie? Może niektórym wywiała je z głowy ośmioletnia zawierucha światowa? Jest to słowo greckie. W starożytnej Grecji lud nazywał się „demos"; dzieło — „ergon". Demos i ergon dały nowy wyraz: demiurg — który oznaczał rękodzielnika i artystę. Demiurgowie tworzyli niegdyś w Atenach — obok szlachty i chłopów — stan trzeci jako rękodzielnicy i handlarze. U Dorów kierownicy urzędów nosili nazwę demiurgów. Nowej treści nabrało to słowo od czasów Platona, który mianem Demiurga (czyli rękodzielnika, artysty i kierownika) określił „boskiego budowniczego świata": ową siłę twórczą kosmosu, co kształtuje materię wedle idei doskonałości. Wyraz tedy demiurg ma sens bogaty i skomplikowany. I w tym złożonym sensie należy go brać, gdy się czyta niezwykłą powieść Kazimierza Truchanowskiego pt. „Zmowa demiurgów" (Warszawa 1947). Jest to książka — powiedzmy banalnie — niesamowita, wysnuta z wyobraźni i wizji, lecz ujętych w karby najostrzejszego realizmu. Wyjątkowy to styl pisarski. Kazimierz Czachowski wywodzi rodowód literacki Truchanowskiego od Tadeusza Micińskiego i St. Ign. Witkiewicza. Możnaby sięgnąć głębiej w przeszłość i wskazać na Barbey'a d'Aurevilly, E. T. A. Hoffmanna, Edgara Poe, jako na protoplastów duchowych Truchanowskiego. Dziwna i symboliczna jest tematyka „Zmowy demiurgów". Mamy tu historię jakiegoś miasta, którego nie można umiejscowić ani w przestrzeni ani w czasie — miasta - symbolu, wyobrażającego zapewne całą naszą współczesność; „naszą" — to nie znaczy „polską", lecz europejską, może światową, przedwojenną współczesność, skazaną na zagładę. Miastem rządzą „demiurgowie", z których jeden nosi imię Adolfa, może więc być traktowany jako pośmiewisko Hitlera. Nad miastem wisi katastrofa, ponieważ jest ono zepsute i zniepravione. I katastrofa przychodzi rzeczywiście; wszelako po straszliwym zniszczeniu miasta poczyna wiać „od zachodu orzeźwiający wiatr". Mimo eschatologię i symbolikę, powieść Truchanowskiego odznacza się żywością narracji i prawdziwością występujących postaci. „Zmowę demiurgów" zilustrował Bronisław Linke, którego sztuka tchnie tajemniczością.

WIEMY, ŻE „Wiadomości" londyńskie są krytycznie usposobione do tego, co się dzieje u nas w kraju. Jednakże, prócz antypatii, mają swoje sympatie. Jeśli „Kuźnicy" nie szczędzą słów potępienia, to „Tygodnik Powszechny" cieszy się ich względami. Ale i jemu się niedawno dostało — mianowicie za artykuł pt. „Na Monte Cassino", ogłoszony w maju br. „Wiadomości (Nr 24 z dn. 15 czerwca) dowodzą, że artykuł ten jest zniekształceniem faktów, zaprzeczeniem prawdy historycznej, niesłychanym urągowiskiem oraz pomniejszeniem czynu oręża polskiego. Więc w osłupieniu wołają: „Na miły Bóg! Od redakcji katolickiego pisma można chyba wymagać, aby nie bezcześcila pamięci najbardziej katolickich żołnierzy Europy". Natomiast z uznaniem podnoszą „Wiadomości" ścisłość i objektywizm relacji K. Z. Skierskiego w artykule pt. „Fakty i cyfry Monte Cassino", opublikowanym w Nr 8/32 „Tygodnia" z dn. 23. II. 1947.

NA NASZYCH DROGACH, przy tzw. punktach kontrolnych, widnieją wielkie tablice z napisem: „Znak regulującego jest rozkazem!" Trzeba przyznać, że przez swą zwięzłość i stanowczość napis ten nabiera charakteru hasła czy sloganu. Ale wyraz „re - gu - lu - ją - ce - go", przydługi i ciężki, nie dźwięczy miłe w tym zwartym haśle. Przytem jest imiesłowem, nie rzeczownikiem, toteż nie daje należytego wyobrażenia tego funkcjonariusza, który reguluje ruch drogowy, podobnie jak „piszący" nie może zastąpić „pisarza". Językoznawcy powinni pomyśleć o urobieniu rzeczownika od czasownika „regulować". Może „regulowca" na wzór: kierowca, zawiadowca; albo „regulownik" jak: przodownik, kierownik? A więc: „Znak regulowcy to rozkaz!"

St. Łatka

Film TYGODNIA



Osatnie prace przy tunelu u zbiegu ul. Marszałkowskiej i Al. Sikorskiego ubijanie ziemi pod jezdnię na tunelu



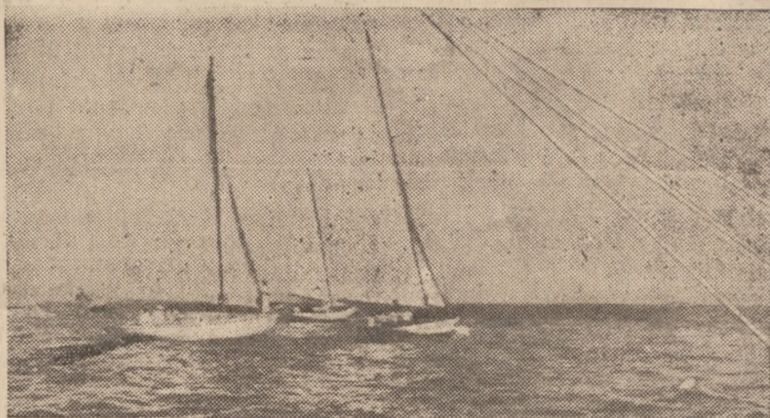
Walenty Władyrczyk dogląda pracy maszyny — kruszarki do gruzu przy budowie gmachu Min. Przemysłu



Al. Niepodległości w ciągu dwóch ostatnich lat zmieniła swój wygląd Wszystko tu już się odbudowało



Hale Mirowskie — będą tymczasowo przebudowane na garaże M.Z.K.
Fot. Film Polski



Ostatnie tygodnie lata wykorzystujemy forsownie przede wszystkim na naszym odzyskanym morzu. *Fot. Film Polski*

Granica wrażliwości

Niedawno w „Kronice kulturalnej" zastanawiałem się nad larum, jakiego narobił „Dziennik Łódzki" z powodu zniszczenia przez „miejscowych wandalów" maleńkiego lasku pod Łodzią, zwanego Bożuchówką. „Rozumiemy żal i oburzenie Dziennika — napisałem: — ale czym jest wycięcie gaiku, wobec spustoszeń, jakich w naszym drzewostanie dokonali najrozmaitsi wandale: ileż to lasów przetrzebiono, ile drzew i zabytkowych parków pożarła barbarzyńska siekiera". W związku z powyższym do redakcji „Tygodnia" nadszedł list tej treści:

„Zgłaszam do Sklerozy notatkę o Bożuchówce, sens jej bowiem jest następujący: wobec wielkich spustoszeń w naszym drzewostanie, nie warto oburzać się z powodu niszczenia lasku w Bożuchówce, ani przedsięwziąć kroków zaradczych: niech go wytną jak najprędzej. Ze spółdzielczym pozdrowieniem inż. H. Mańkowski".

Zdaje mi się, że nie napisałem: „nie warto oburzać się", lecz napisałem: „rozumiemy żal i oburzenie". Zdaje mi się, że z notatki mojej jeśli ją wnikliwie przeczytać, niepodobna wyciągnąć wniosku, jakobym aprobował jak najszybsze wycięcie Bożuchówki. Notatka moja jest po prostu melancholijna. Zrodziła się w ten sposób, że „Dziennik Łódzki", gdym czytał jego alarmującą wiadomość w Bożuchówce, przypomniał mi przysłowiowego niedźwiedzia, który ryczy, gdy spadnie na niego gałązka, i milczy, gdy przywali go drzewo. Trzeba pewne rzeczy różnicować, stopniować je wedle ważności. W istocie : co znaczy podmiejski zagajnik — miejsce wycieczek mieszczuchów, którzy jak świat światem zanieczyszczają i niszczą takie miejsca — co on znaczy wobec obrazów wymordowanego starodrzewia, jakie oglądałem np. na Mazurach i Warmii? Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy — możnaby ironicznie powtórzyć za Słowackim.

List inż. Mańkowskiego zagrzał mię do pewnych refleksyj i wywołał we mnie pewne skojarzenia. W filozofii mówi się niekiedy o „granicach poznania": są rzeczy i zjawiska, których ogarnąć umysłem nie możemy. W astronomii np., mimo jej dążność do uprzystępnienia nam pojęcia o wszechświecie, trudno nam powziąć wyobrażenie tego, że istnieją układy gwiazd i mgławice, odległe od nas o 50 milionów lat światła. A światło przebywa 300 tysięcy kilometrów na sekundę. Więc jakże sobie uzmysłowić, jak uświadomić, co to jest 50 milionów lat światła? Zdaje się, że oprócz „granicy poznania", a raczej „granicy świadomości", można mówić i o „granicy wrażliwości". Jeśli doznaję zbyt wielu wrażeń i coraz bardziej nasilonych, działa na mnie albo wrażenie najostrzejsze, albo przestaję być w ogóle wrażliwy: tępieję. Gdy widzę powalone kilkusetletnie dęby, nie mogę się przejmować losem zdeptanego trawnika. Ale gdy będę wciąż oglądał wytrzebione bory i puszcze, ostatecznie zobojętnieję i na to dziwowisko. We wrześniu i w październiku r. 1939 wstrząśnięci byliśmy zniszczeniem Warszawy: kawałek zburzonej Świętokrzyskiej i Nowego Światu budził w nas grozę. Dziś, mieszkamy śród gruzów warszawskich i czujemy się tak, jakbyśmy zawsze w tych warunkach mieszkali. Wojna, , natężając coraz gwałtowniej swe okropności, dała nam przerażającą lekcję otępienia uczuciowego i moralnego.

Świeżo miałem rozmowę ze znajomą panią, która, w najwyższym poruszeniu uczuć, opowiadała mi o tym, jak widziała na ulicy katowanego przez woźnicę wynędzniałego konia. Brakło jej słów, by napiętnować okrucieństwo człowieka i wyrazić swój ból wobec cierpienia zwierzęcia. Rozumiałem jej stan, jak rozumiałem żal i oburzenie „Dziennika Łódzkiego" na widok pustoszonej Bożuchówki. Ale chciałem mojej pani zadać kilka pytań w rodzaju: w jaki sposób gotuje pani raki? Czy pani wie, jak się zarzyna kaczki na czerninę? a jak służąca pani zdziera skórę z żywego węgorza, aby pani mogła swych gości poczęstować wyborną galaretą? Chciałem zapytać mojej pani, czy — współczując męce konia — nie mija nigdy obojętnie chudego głodnego dziecka na ulicy lub zgrzybiałej, włóczącej nogi żebraczki? Chciałem wreszcie otworzyć „Granicę" Nałkowskiej na tej stronie, gdzie ksiądz Czerlon opowiada, jak w dzieciństwie zobaczył w kuchni oskrobaną żywcem rybę, z której kucharka wyjmowała wnętrzności, a potem soliła jej odarte ciało: jak ta ryba przeciągała się w męce i drgała, i nie mogła umrzeć. Rozmówca księdza Czerlona, któremu on opowiada swoje przeżycie, pobladłszy, ciska mu w odpowiedzi pytanie: „Dlaczego mi to mówisz?" Rzeczywiście: dlaczego? I gdybym ja mówił o tym wszystkim mojej pani, być może doczekałbym się jednej oceny: że jestem cynik, uważam bowiem, że nie warto oburzać się na nieludzkiego woźnicę, znęcającego się nad koniem, wobec bezliku torturowanych ryb i raków: niechże woźnica uśmierci jak najprędzej swego konia.

Nie jestem cynikiem. Wiem tylko, że jeśli człowiek nie widzi czegoś okrutnego i nieludzkiego i o nim nie słyszy, nie wzrusza się nim zbytnio: toteż jadamy z apetytem ryby i raki, bo nie myślimy o tym, jak się je przyrządza. Nad tą właściwością ludzkiej natury idealista może boleć; musimy jednak przyznać na zimno, że jest to właściwość dobroczynna, dana nam przez samo mądre przyrodzenie: gdybyśmy jej nie posiadali, nie moglibyśmy żyć, zamienieni albo w kłębek nerwów, albo zdziczali zupełnie w zobojętnieniu na cierpienie innych, bo na nasze własne będziemy zawsze czuli. Możliwe, że rozmyślania nad tą naszą właściwością doprowadziły Lwa Tołstoja do jego religijnej nauki o wszechprzebaczeniu, do postawienia tezy, że „nie ma na świecie winowajców". Oto słowa jego, podyktowane — rzecz osobliwa — wiarą i miłością chrześcijańską: „Chciałbym, jeśli Bóg pozwoli, wykazać w swej twórczości pisarskiej, że nie ma na świecie winowajców. I ten przewodniczący sądu, który podpisuje wyrok śmierci, i ten kat, który wiesza — doszli drogą naturalną do swych sytuacyj, tak samo naturalnych, jak naturalna jest nasza, kiedy siedzimy w ciepłym pokoju i pijemy herbatę, wówczas, gdy wielu ludzi w tejże chwili marznie, głoduje i cierpi". Jednakże bierność takiego stanowiska jest już nie tylko jakąś buddyjską rezygnacją, swego rodzaju samolubną nirwaną i moralnym nihilizmem: jest ona całkowicie aspołeczna. Zasię człowiek uspołeczniony, acz zdaje sobie sprawę, że nie w jego mocy usunąć radykalnie z życia cierpienie ludzi i zwierząt, powinien mieć świadomość tego, że nie wolno mu zadawać cierpienia innym, nie wolno mu nie tylko przekraczać „granicy wrażliwości", ale nawet zbliżać się do niej, by nie stwardniał i nie skamieniał w swym sercu, by się nie odczłowieczył. Albowiem „granicę wrażliwości" łatwo przestąpić: dowodem tego wojna, którąśmy przeżyli, i wszystkie jej potworności, i jej następstwa, które długo jeszcze będą nas przygniatać.

Odczytuję swój felieton i widzę, jak się w nim zagalopowałem: od lasku w Bożuchówce do jakowejś „kosmicznej zadumy" nad cierpieniem. Buddyzm, o który zawadziłem, orzekłyby co prawda, że drzewa również cierpią. Wszelako, jeśli chodzi o krytykę niniejszego felietonu, niech Czytelnik łaskawie pamięta, że felieton w ogóle — jako gatunek literacki — nie jest ani traktatem naukowym, ani rozprawą, pełną argumentów. felieton — to bezpretensjonalna gawęda, w której jedna myśl goni drugą. Nie trzeba chwytać go tak surowo za słówka, jak to uczynił ze spółdzielczym pozdrowieniem inż. Mańkowski.

Jerzy Wyszomirski

Tak pracują Oddziały „Społem"

POWIATOWA SPÓŁDZIELNIA ROLNICZO-HANDLOWA w Sochaczewie

Powiatowa Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa w Sochaczewie, ul. Reymonta 24, istnieje od 1919 r. Działalnością swoją obejmuje cały powiat, zrzeszając 5.600 członków i zatrudniając 65 pracowników. Spółdzielnia prowadzi filię przy st. kol. Szymanów i 4 sklepy w Sochaczewie, a ponadto posiada: magazyn narzędzi i maszyn rolniczych, skład materiałów budowlanych i elewator zbożowy, całkowicie zmechanizowany, o pojemności 3.000 ton zboża. Kierownictwo Spółdzielni projektuje otwarcie w najbliższym czasie jeszcze jednego sklepu w Sochaczewie i wybudowanie na własnym placu tartaku, którego zadaniem będzie dostarczenie budulca drzewnego wsiom, zniszczonym w czasie wojny i — ostatnią powodzią. Obroty Spółdzielni w 1946 r. wynosiły 52 miliony zł. W roku bieżącym, zgodnie z preliminarzem budżetowym, mają dać ponad 100 milionów zł.

Spółdzielni patronuje Stronnictwo Ludowe, które jako partia chłopska bierze wybitny udział w jej pracach. Cała Rada Nadzorcza Spółdzielni składa się z członków tego Stronnictwa z prezesem p. K. Orlińskim na czele. Zarządowi Spółdzielni przewodniczy wybitny działacz Stronnictwa Ludowego — poseł na Sejm J. Kulisiewicz, a kierownictwo jej spoczywa w ręku dyr. J. Kaźmierowskiego i jego zastępcy S. Sieradzkiego. (a.).

Nowy Konkurs „Tygodnia"

Zamieszczoną w Nr 31 (55) „TYGODNIA" trzecią zagadkę w konkursie na ilustrowane przysłowia polskie odgadło bezbłędnie 412 osób. Brzmi ona: „Głową muru nie przebijesz".

W drodze losowania otrzymali

NAGRODĘ KSIĄŻKOWĄ:

Janusz Reszelski — Witaszyce, pow. Jarocin, Jadwiga Zielińska — Koźle, ul. Mickiewicza 5, Romuald Pągowski — Płock. ul. Dobrzyńska 8—4, Leon Karczewski — Białowieża, ul. Stoczek 233, Zofia Marcinowiczowa — Leśna, pow. Lubań, ul. G. Morcinka 211, Alicja Sobczyk — Falenica, dworzec kolejowy, Eugeniusz Rudziński — Grajewo, „Społem". Ryszard Górski — Zwoleń, Rynek 5, Marian Studziński — Władysławowo Port, poczta Wielka Wieś, pow. Morski (Kapitanat Portu), Stenia Micewicz — Zbąszyń, ul. 17 stycznia 73.

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

Janusz Grochocki — Szczecin, ul. Jagiellońska 71—6, Jan Sobański — Dobra, k/Turku, ul. Dekerta 32, woj poznańskie, Kazimierz Maciołek — Gostyń, Wlkp., ul. Nowa 11, Hipolit Lisowski — Białystok, ul. Mickiewicza 79, Józef Waczków — Elbląg, ul. Wyspiańskiego 1, Wiesława Surdyk — Radziejów Kujawski, ul. Kościuszki 3, pow. Nieszawa, skrz. poczt. 17/18, Barbara Buczkówna — Ciechanów Mazowiecki, ul. Zielona Ścieżka 6, Janusz Poeche — Zabrze, ul. 3 Maja 7a, Józefa Ryś — Mszana Dolna., ul. Kolejowa 622, Sylwester Zolnikowski — Warszawa-Praga, ul. Stalowa 45—11, Zdzisława Drążkiewicz — Opalenica Cukrownia, pow. Nowy Tomyśl, Zygmunt Grzechnik — Tartak Budy. poczta Firlej, pow. Lubartów, Irena Wilk — Rzeszów, ul. Staroniwa Dolna 200, Halina Sagankówna — wieś Jagodna. pow. Garwolin, Jerzy Biernacki — Żary k/Żagania, ul. Pomorska 4, Marian Kądziołka — Nowy Sącz, ul. Kilińskiego 73, Janina Kocielnik — Łódź. Centr. Wyszkol. Sanitarnego, ul. 11 Listopada, Irena Cegielska — Katowice, ul. Jagiellońska 27, Michał Gorczyca — Tęczynek, pow. Chrzanów, Ryszard Wiśniewski — Będzin. Plac 3 Maja 10.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.

Zagadkę szóstą podamy w następnym numerze.

TYDZIEŃ

Wydawca Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"

Redaguje: Zespół redakcyjny

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8

Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12

TELEFONY Redakcji 86-164 Administracji 88-715

Redakcja rękopisów nie zwraca

Prenumerata miesięczna 75 zł. pół roczna — 450 zł, roczna 900 zł.

Konto P K O Warszawa Nr 1-4766

Ogłoszenia za ... wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.

R. S. W. „PRASA", Z. G. W-wa Smolna 12 B-34267

Powiatowa Spółdzielnia Spożywców „Płońszczanka" w Płońsku

Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Płońszczanka" w Płońsku, ul. Ciechanowska 7. powstała w marcu 1945 r. Obecnie zrzesza 503 członków i zatrudnia 21 pracowników, prowadząc 3 sklepy (2 — kolonialno-spożywcze i 1 — z artykułami włókienniczymi i wyrobami monopolowymi. Obroty Spółdzielni wynosiły w 1945 r. — 3.972.000.— zł., a w roku ubiegłym — 31.672.000.— zł. Na rok bieżący preliminowano je w wysokości 30.000.000.— zł. Zarząd Spółdzielni w składzie: R. Wojciechowski — prezes i kierownik, Z. Chądzyński i J. Domański, zamierza w najbliższej przyszłości wyremontować dom przy ul. Płockiej, kosztem 5 milionów zł. W domu tym znajdą pomieszczenia biura Spółdzielni i dalsze jej sklepy. (a).

Prosimy o odnowienie prenumeraty na wrzesień

KĄCIK FILATELISTYCZNY

W roku bieżącym filateliści francuscy żyją pod znakiem wydawania kompletnych serii — dla kolonii. Dostały już nowe znaczki francuskie: Afryka Równikowa, Francuska Afryka Zachodnia, Kamerun (którego jeden znaczek lotniczy, wartości 200 franków, dziś reprodukujemy), Madagaskar i Réunion. Ostatnio przybyły serie dla Francuskiej Gujany, Guadelupy i Martyniki. Każda kolonia dostała po siedemnaście znaczków opłaty (10, 30, 50, 60 c, 1, 1.50, 3, 4, 5, 6, 10, 15, 20, 25 i 40 fr.), trzy lotnicze (50, 100 i 200 fr.) oraz dziesięć dopłaty (10, 30, 50 c, 1, 2, 3, 4; 5; 10 i 20 fr.). Poprzednie serie miały o dwa znaczki opłaty więcej (80 c i 1,20 fr.). Motywami tych znaczków są tubylcy, puszcze dziewicze, zwierzęta, widoki portów, praca na plantacjach itp. Pięknie wykonane w żywych kolorach, znaczki te (choć nominał ich wynosi już około 4.260 franków), zjednają znowu wielu zbieraczy dla kolekcjonowania kolonii. Zwłaszcza, że w tej chwili nie ma jeszcze w tych seriach znaczków fałszywych, w wypuszczeniu których specjalizowała się między innymi nasza przedwojenna Łódź.



*

The Polish Philatelic Society, angielskie stowarzyszenie filatelistyczne, specjalizujące się w zbieraniu znaczków polskich i b. Wolnego Miasta Gdańska, rozwija coraz szerszą działalność. W lipcu wyszedł pierwszy numer „The White Englet", oficjalnego organu towarzystwa. Sekretarz stowarzyszenia, p. H. M. Smith, po wydaniu pięknego katalogu „Polish Post 7 Years War" (Poczta polska w ciągu 7 lat wojny), Opracowuje obecnie ogólny katalog znaczków polskich w języku angielskim.

Witold Orłowski

V KONKURS „TYGODNIA" na rozrywki umysłowe

W Nr 28 (52) „Tygodnia" ogłosiliśmy V konkurs naszych rozrywek umysłowych, który trwać będzie do 1 września br. Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia" Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 15 września br. Konkurs ten, tak jak poprzedni połączony jest z konkursem autorskim, przy czym uczestnicy konkursu wytypują trzy najlepsze zadania i podadzą na specjalnym kuponie, który zamieścimy przy zakończeniu tego konkursu.

Zadania nadesłane na konkurs poprzedni, a nie zamieszczone dotychczas będą wykorzystane w obecnym konkursie.

Prosimy o nadsyłanie nowych zadań.

KRZYŻÓWKA ZOOLOGICZNA

W podaną figurę należy wpisać wyrazy tak, by czytane poziomo i pionowo dały brzmienie:

1) zwierzę z rodz. małp.
2) „ „ „ kun.
3) „ „ „ wielbłądów
4) ptak pokrewny wronom.
5) lis pustynny.
6) ptak z rodziny siewek.

Ul. Wietrzny

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

Prosimy Czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" w autentycznych wycinkach i z zaznaczeniem, skąd są wzięte. Za najlepszą rzecz tygodnia przeznaczamy 150 zł nagrody.

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymał p. Marian Habel (Tarnów. ul. Brodzińskiego 31 m. 5) za nadesłanie wycinka z nr 30 „Spólnoty" z dnia 27 lipca br.

Z ŻYCIA SPÓŁDZIELCÓW W ŁODZI

„Niecodzienna i piękna uroczystość wypadła w dzień pierwszego lipca br. w Łodzi. W dniu tym obchodził jubileusz czterdziestoletniej pracy spółdzielczej jeden z najbardziej zasłużonych spółdzielców łódzkich, ob. Michał Grudzień... Jako długoletni członek Zarządu Spółdzielni „Rola", przyczynia się nie mało do połączenia tej placówki ze spółdzielnią „Wyzwolenie". W wyniku tej fuzji powstaje Powszechna Spółdzielnia Spożywców w Łodzi, jedna z najpoważniejszych placówek spółdzielczych w Kraju. Ob. Grudzień pracuje w PPS na stanowisku Członka Zarządu od listopada 1939 r., tj. do momentu przejęcia PPS przez okupanta, przyczyniając się wydatnie do odbudowy największej spółdzielni spożywców w Polsce Ludowej".

Nie negujemy zasług ob. Grudnia, życzymy Czcigodnemu Jubilatowi dalszej owocnej pracy dla dobra spółdzielczości, nie możemy jednak uwierzyć, żeby kiedykolwiek PPS była „przejęta przez okupanta". Przeczą temu piękne karty historii walki PPS z okupantem.

P. St. Pruszyńska (Bochnia, ul. Leonarda 2) przesłała następujące dwa wycinki z „Dziennika Polskiego" nr 211 z dnia 5 sierpnia br.

INWAZJA NA SAN DOMINGO — TAJEMNICZE WOJSKA OPUŚCIŁY KUBĘ

LONDYN, 4 sierpnia (PAP). Agencja Reutera notuje pogłoski, jakoby „tajemnicze wojska inwazyjne" z Kuby szykowały się na wodach Oceanu Indyjskiego do ataku na republikę San Domingo".

Rzeczywiście niełada wyprawa wojenna, skoro droga z Kuby na San Domingo prowadzi przez Ocean Indyjski. A może to nowa wyprawa podróżnicza à la Kolumb.

W tym samym numerze „Dziennika Polskiego" znajduje się następująca notatka:

„Tygodnik londyński „Observer", wychodzący co niedziela od 156 lat, należy do czołowych organów prasy angielskiej i każdy temat poruszany na jego łamach nabiera specjalnej wagi. Tymbardziej, gdy chodzi o zagadnienia polityki watykańskiej, traktowanej zawsze w Londynie ostrożnie, a nierzadko z dużą powściągliwością.

Podkreślam tu z naciskiem rodzaj ciężaru gatunkowego informacji, podawanych przez „Observera". Pismo to nigdy chyba, w ciągu pół wieku istnienia, nie zagalopowało się i nie wydrukowało kaczki dziennikarskiej, nigdy nie sprzeniewierzyło się zasadzie, że nie ma dymu bez ognia..."

Możliwe, że „Obserwer" się nie zagalopował i nie drukował ani razu kaczki dziennikarskiej, za to „Dziennik Polski" w ciągu niespełna trzech lat swego istnienia podał ich wiele, choćby w powyższym artykule, z którego wynika, że według „Dziennika Poskiego" wiek liczy 312 lat.

W sprawie Kazimierza Manna

W związku licznymi zapytaniami naszych Czytelników, czy pod rysunkiem **„DOŻYNKI"** na stronie tytułowej poprzedniego numeru „TYGODNIA" nie wydrukowaliśmy omyłkowo jako autora zamiast Kazimierza Manna — Witolda Chmielewskiego — wyjaśniamy, że Witold Chmielewski jest młodym lecz pojętnym uczniem szkoły Kazimierza Manna. Oczywiście, że większa ilość takich pojętnych uczniów przysporzyłaby Kazimierza Manna o mann-ka.

Jan Rojewski

PRZYGODY ZAGŁOBY

Rys. Jerzy Zaruba

Remont



— Co się stało z panem Zagłobą? Tyle czasu go nie widać!



— Ja mam jego adres. Chodźmy sprawdzić.



— Remont. Widocznie już tu nie mieszka.



— Czołem Waszmościom!
— Zagłoba! Skąd pan wraca, panie Zet,
— Z Ustki, mosanie. Wzorem licznych restauratorów i kupców, urządziłem sobie i ja mały remont!

Ulica JANA KIEPURY



W Łodzi, w największym środowisku robotniczym w Polsce jest ulica... nikt by nie przypuszczał nawet... Jana Kiepury!!!

Ciekawi jesteśmy, za jakie zasługi ojcowie miasta Łodzi nazwali jedną z ulic imieniem sprytnego groszoroba, który często zmienia swoją orientację polityczną w zależności od wiatrów, jakie wieją w miejscu jego pobytu.

Bo chyba nie za to, że przed wojną publicznie chwalił się przyjaznią Goeringa i Goebbelsa, ani nie za to, że śpiewem swym zdobył olbrzymią fortunę, lokując ją w większości za granicą. Chyba tylko za to, że przed wojną, przed swoimi koncertami wygłaszał głupawe przemówienia polityczne. Jeżeli został popełniony błąd przed wojną, to tym bardziej teraz należy go natychmiast naprawić.

Szkoda, że nie zrobił tego dotychczas Zarząd m. Łodzi (zmieniając nazwy setek ulic). Wiemy przecież, że Kiepura stara się o obywatelstwo amerykańskie. Niech tam za Oceanem, gdzie dorobił się wielkiej fortuny, nazwą jedną lub więcej ulic jego imieniem, ale w Polsce, a przede wszystkim w robotniczej Łodzi, trzeba to szybko zmienić. Mamy tyle szlachetnych i bohaterskich postaci, nazwiskami których nazwać możemy ulice naszych miast.

Na naszym zdjęciu: Kiepura ze swą żoną Martą Eggerth i z synem.

Pozdrowienie od Grodzieńskiej

Wielu z naszych Czytelników zapytuje, dlaczego od pewnego czasu brak w „Tygodniu" felietonów Grodzieńskiej. Otóż znakomita aktorka i felietonistka bawi z córką i z mężem na urlopie, skąd przesyła nam następującą kartkę:

Oliwa — Jelitkowo, 14 sierpnia 1947 r.

Drogi Redaktorze!

Spędzam wczasy na naszym odzyskanym Wybrzeżu, holuję doki, zwijam żagle, bisuję fokmaszt na avanporcie i trapy na falochrony, kamberuję stewardę przez iluminator i czuję się jak latarnia morska za burtą, tzn. świecę jasnym blaskiem, mrugam na majtka i moczę się w morzu. Mimo to pamiętam o Panu i wspominam czule, ile razy zobaczę wilka morskiego z fajką.

Wasza GRODZIEŃSKA

TYDZIEŃ

Następny numer poświęcony będzie ósmej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej